

JÓZEF ŁOBODOWSKI

# DWIE KSIĄŻKI

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1984







# DWIE KSIĄŻKI

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 401

ISBN 2-7168-0062-6

IMPRIME EN FRANCE

---

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,  
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

JÓZEF ŁOBODOWSKI

# DWIE KSIĄŻKI

INSTYTUT  
PARYŻ



LITERACKI  
1984

TEGOŻ AUTORA  
W BIBLIOTECE « KULTURY »

*Złota bramota*, 1954 (wyczerpane)

*Pieśń o Ukrainie*, 1959 (wyczerpane)



## KOMENTARZ OD AUTORA

Niniejszy tom składa się z dwóch najzupelniej odmiennych części. Chciałem obydwą szczupłe tomiki wydać w Londynie, ale najwidoczniej przeoczyłem terminy. Powiedziano mi, że wiersze to towar niechodliwy, więc o wydaniu ich bez uprzedniego wpłacenia odpowiedniej sumy przez autora nie ma w ogóle mowy. Czytelnicy na emigracji szybko wymierają, a ja, widać, żyję za długo. I właśnie wtedy otrzymałem od redaktora Jerzego Giedroycia propozycję wydania tomu wierszy nie przekraczającego stu osiemdziesięciu stron. Początkowo wysunąłem propozycję wydania dwóch małych tomików, ale Giedroyc nie zgodził się ze względów techniczno-wydawniczych. Mówi się trudno: pan-wydawca każe, sługa-autor słuchać musi.

Tomik pierwszy nosi tytuł „Dytyramby nieprzejednane” i — z wyjątkiem kilku pierwszych wierszy — ma charakter zdecydowanie polityczny. Prawie wszystkie były drukowane w czasopiśmie literackich, niektóre w wydanych w latach ubiegłych tomach poetyckich. Tomik drugi — „Popołudnie fauna” — stanowi całkowite przeciwieństwo. Są to pejzaże, w pewnych wypadkach mitologiczne, i erotyki, pisane w różnych epokach. Czytelnik może zdziwić się, skąd pod poszczególnymi wierszami znajdują się dwie daty, niekiedy dość odległe w czasie. Nauczyłem się od Józefa Czechowicza, aby wierszy, które uznałem za nieudane, nie wyrzucać, lecz chować do szuflady. „Może przyjdzie szczęśliwa chwila, gdy je przerobisz i wydrukujesz”. Otóż pierwsza data zawsze oznacza rok, gdy powstała pierwsza, uznana za nieudaną wersja wiersza; druga data — gdy mu nadałem kształt ostateczny.

Te dwa tomiki wydane w jednym to niezbyt wielka część twórczości autora z ostatniego, emigracyjnego okresu. Poprzedni tom, „W połowie wędrówki”, ukazał się w Londynie przed dwunastu laty.

Józef ŁOBODOWSKI



DYTYRAMBY  
NIEPRZEJEDNANE



## I

### CMENTARZ W LUBLINIE

Jakież sens brać w dłonie ciepłe trupy wydarzeń,  
jeśli nie można ich wskrzesić,  
jeśli nie można ich zmusić  
by po raz drugi umierały inaczej?

Zawodowi tych spraw opowiadacze  
potrafią wymierzyć proporcje  
między piaskiem, którym rzuca się na powieki zmarłych,  
między słowami, które wygłasza się, czkając na stypie;  
umieją wymierzyć trumnę  
i rękę, która kwiaty sypie.

Zawsze lubiłem cmentarze. Lubiłem w nocy  
drzemać wśród grobów, porwanych powodzią jaśminów.  
Powietrze zalewało krtań chmielnym płynem,  
słowiki krzyczały na cały świat o swoim szczęściu,  
oszalałe, w miłości niesamowite.

Cmentarz kołysał się, wzbierał wiosną, żył.  
Budziłem się późnym świtem.  
Na pobliskim pagórze chłop prowadził konie:  
szły rześko, pobrzękując kantarami.

Ten cmentarz już nie śpiewa. Dawno zamilkł  
głos, co był głosem umarłych,  
ale zachęcał mnie do życia.

Nazwiska na kamiennych tablicach się starły,  
nie pamiętam ich.  
Drewniane krzyże pod murawę się zapadły,  
z próchna nie wydobędę ich.  
Zapomniałem na ile ciągnął się stajań  
i zatraciłem miarę dzisiejszych wydarzeń.

A cmentarze stoją w kwietniach i majach,  
w sienie mgły świtów, na plusze i skwarze,  
unoszą w dłoniach ciepłe trupy lat —  
i po każdym pogrzebie grabarze  
przy podziale srebrników kłócą się zajadle.

Tak nieraz, gdy kruszyłem suchy chleb, w mój ślad  
leciały z wrzaskiem wróble, gile, trznadle...

I chciałbym je wszystkie wziąć w dłońie  
i wskrzesić, aby po raz drugi umierały inaczej,  
a to znaczy,  
że musiałbym wskrzesić sam siebie,  
aby inaczej żyć po raz drugi  
i zasłużyć na jaśminy, na słowiki,  
na cmentarz...

Przechodzi pogrzeb po pogrzebie  
i pod skrzydłem szarugi  
wolno wleką się żałobne zwierzęta.

## LIST DO KRAJU

### I

Mówiłem do was co wieczór. Czerwone światło zapalało się.  
Zapalało się uniesienie, gniew, czasem czułość.  
Słowa biegły w mrok — iskry rzucane na hazard.  
Niekiedy wracały. Wdzięcznością, chropawym słowem  
kogoś, kto chętnie chwycił iskrę na pierś,  
bo sam się od dawna chciał zająć płomieniem.

Wtedy słowa bywały celne. Z wygodnego schronu  
nie trudno brać cel na muszkę i sprawdzać wielokrotnie,  
nim się za spust pociągnie. To nie było trudno.  
Trudno było mówić do niemych.  
Do niemych mówić — sparaliżowanemu.

## II

W snach wędrowałem ku wschodowi.  
Przepląwałem rzeki, czołgałem się w zaroślach.  
Szukałem znajomych śladów na wydeptanych drogach.  
Stalowy świt zastawał mnie tam, gdzie jestem:  
bredzący w delirium,  
nieuleczony z tęsknoty,  
wciąż badający horoskopy gwiazd.

Spodziewałem się tamtej burzy. Oczekiwałem jej.  
W żyłach wzbierała krew jak w barometrze.  
Z roku na rok wiedziałem co się stanie.  
Alem był jak pijany okręt na oceanie,  
co opluwany fal wzburzonych śliną  
do żadnego portu nie zawinął,  
ani na dno nie poszedł.

Polarna Gwiazda do siebie wabiła go,  
gnijąca gęstwa Sargassa otoczyła go,  
przywidływały się wraki innych okrętów;  
ulewa konstelacyj nie przestawała go smagać,  
pleśnią butli omszałych zarosła odwaga,  
nie zostało nic,  
oprócz żalu i wstrętu.

Lecz to dość, aby wolę obudzić w człowieku,  
aby gniew swój na myśl zimną przekuć  
i ostrze zwinnego sztyletu zatruć;

aby palec zagiąć pod żebro: — Czy żywa? —  
z komediantów trupie maski pozrywać  
i rozwalić ściany teatru.

Rozwalić budę zbitą z desek.  
Scenę, po której chodzą worki wypchane trocinami,

wygrazające mieczami z łuczywa,  
wygłaszające tyrady, z których nic nie wynika,  
dosiadające bachmaty na kółkach,  
o konopianych grzywach,  
w hełmach,  
które nie zdadzą się ani na misę cyrulika.

Zaczerpnąć w płuca tchu, a obali się sama.  
Przed nami ściana mroku.  
Trzeba wszystkie do niej podejścia z ruin oczyścić,  
aby nie przeszkadzały jutrzejszemu szturmowi.  
Trzeba odpędzić tłumy krzykliwych ciurów:  
wrzeszczą i wygrazają,  
a pierwsi poddają się panice.

### III

Nie chcę dłużej mówić na odległość  
Nie chcę krzesła — potrzebne mi siodło i strzemiona.  
Pragnę przepłynąć rzekę wybraną,  
czołgać się w zaroślach, które mi są przychylnie,  
i oglądać stalowy świt nie tu, gdzie jestem.

Potrzebna mi inna miara moich słów,  
niż ta, którą daje huczący linotyp  
i pióro krytyka,  
poruszające się jak rak do tyłu.

Muszę sprawdzić raz jeszcze, czy ojczysty wiatr  
nie mylił się, gdy brał maskę z mej twarzy,  
maskę nie pasującą do waszych karnawałów.

Upokorzony paraliżem, ogłaszam akt rebelii.  
Karbonariusz marzenia, konfederat dumy,  
któremu obrzydły nocne rodaków rozmowy.

Nie tylko to mi obrzydło. Potomek wyrodny,  
nie wyciągnę starej dwururki z lamusa,  
gdy hasło poda obcy, lub swój w obcej służbie.  
Nie zanieście mnie do swego Panteonu.  
Chcę zginąć inaczej. Tak, aby mój zgon



wzniecił płacz tysiąca matek nieprzyjacielskich,  
by ich sieroctwo tego zgonu było ceną.

Mam dość litości. Wolę nienawiść.  
Nie chcę być podziwianym męczennikiem,  
który z nałogu krwawi.  
Sprzykrzyło mi się mieszkać na cmentarzach  
i nie mam powołania na żebraka.

#### IV

Z cudzoziemskiej korzystając łaski,  
mówiłem do was co wieczór.  
Wpatrywaliście się w mój głos,  
jak w światło migającej latarni.  
Ale nie mogłem upewniać was w żadnym z mych przecuć.  
Mogłem tylko podsycać wasz gniew lub niecierpliwość  
i oznajmiać,  
że tchórze i oszuści pamiętają i o was.

Przebiegłość i nienawiść oto szczeka ośła  
na Filistynów. A jeżeli przy tym  
trzeba będzie liszkom podpalić ogony,  
i na to się zdobędziemy.

I obudzi się człowiek wolny w zaroślach,  
i władzę w członkach odzyska paralytyk  
i rozwiązane będą usta niemych.

#### LIST DO MATKI

Późny wieczór się kładzie nad starym Lublinem,  
w szelest i w cień uciekają zamglone klony.  
Granatowieje niebo, dotąd błękitne i sine,  
nad Tatarami opar się wznosi zielony  
i zmierzch fiołkowy otwarte bramy nasycy...

Kroki moje zgłuszone w mrocznych lubelskich ulicach,  
powrotne kroki młodości raz jeszcze niechaj usłyszę!

Głowę moją szaloną niech tamten wiatr ukołysze,  
w gęstwie jaśminów zaszumi,  
wzburzone włosy potarga,  
niech wszystkie dawne zaklęcia zbudzi na wargach  
i starą furtką zaskrzypi,  
gdy klucz w niej zwolna przekręcę,  
by oprzeć drżące skronie o spracowane twe ręce.

Coraz ciężiej zasypiać, budzić się coraz trudniej,  
bezdarna dłoń opada na głowę małego wnuka.  
Ognistymi kołami w znużonych oczach południe,  
po nocach budzisz się, gdy gałąź w okno zastuka,  
nasłuchujesz długo — odwieczna matczyzna praca —  
gdy się kroki wstrzymają przy bramie:

— To może syn mój powraca...

A on nie powraca, zły, niedobry syn,  
a on nie pisze nawet, jak zawsze... przedtem...

„Na próżno go przywołuję codziennych modlitw szeptem,  
daremnie go rozgrzeszam ze wszystkich win...

Nie przychodzi,  
zabłąkał się wśród obcych, dalekich ziem,  
nie poradzą, nie dopomogą  
bezsilne ręce matczyne...”

O, srebrna moja, najbielsza,  
teraz dopiero wiem,  
naprawdę złym byłem synem.

Noce rzucone na pastwę szalonym snom,  
młodość, co była rozterką, gniewem, rebelią i pychą.  
Wszystko rozwiało się w burzy,  
wszystko przepalił grom,  
że się jak liście umarłe po ziemi ścielą...

A tylko gorzki twój płacz zbłąkaną jaskółczychą  
wciąż krąży nad pogorzela.

W tej drodze, którą idę skroś zbójceckich borów  
przez świat, co mnie otacza jak bezludna pustka,  
zwierzęta głodu, trwogi i pomoru,

świecąc płomieniem ślepiów, chciwie wężą w ślad,  
na skrzydła rudych łun porwany wiatr  
na twarz opada zakrwawioną chustką,  
znużone stopy potykają się na grobach  
i próżno w list do ciebie  
chcą się związać słowa,  
słowa  
stłumione jak płacz...

## ELEGIA

### I

Przyszło nieszczęście. Podstępnie, po cichu.  
Jak widmo, które wchodząc ani drzwiami zaskrzypi...  
Ile jeszcze piołunu zostało w kielichu?  
Do dna go wypij!

To nie dlatego że śmierć. Ta rzadko się spóźnia.  
O wyznaczonej godzinie zatrzaskuje trumienne wieka.  
Wyroczone młoty biły w podziemnych kuźniach,  
nie chciały zwlekać.

### II

Działo się bardzo dawno. Litewska szlachcianka  
stanęła nad jeziorem. Piasek, sosny, rybitwy.  
Białe dwory. Dzikie wino na gankach.  
I jest wszystko, jak było, prócz Litwy.

Koń ognisty z mroków się wynurzył,  
bezwładne czoło jeźdźca na płonącej grzywie.  
Błyskawice. Syn urodził się w tej burzy  
i na zawsze już miało być burzliwe.

Bo za dużo, jak na jedno życie, czterech wojen,  
bo za wiele, jak na jedno serce, tylu ostrych mieczy.  
Jaskółczychy krążą nisko, zdjęte niepokojem,  
i na krzyżu krwawi Syn Człowieczy.

A miało być inaczej. Miał być dom,  
w którym spokojna starość w późny zmierzch się chyli.  
Zanim nadeszła, znów uderzył grom  
i nocom nie przespanym, groźnym dniom  
wszyscy niedowiarkowie uwierzyli.

Miało być w słońcu, które siwe włosy złoci,  
i w ciszy, która nie wadzi nikomu.  
Ogród, gdzie tłumnie od małych i stokroci.  
Świegot ptaków o świcie.

Lecz nie było domu.

Miała być, kiedy grzmoty wojenne odhuczą,  
pełnia szczęścia na dniach i godzinach,  
drobna ręka, gładząca głowy małych wnucząt,  
i syn, u stóp klęczący.

Lecz nie było syna.

### III

To jest wiek, który wilkiem skacze do gardła,  
jak napisał zameczony poeta,  
wiek, co życie na dwoje nam rozciął...  
Ale pieśń niepodległa nie umarła —  
gdy kat stąpa po zgiętych grzbietach,  
ona świadczy się gorzką wolnością!

Wiek, który matkom dogorywającym  
odmawia ostatniego pożegnania,  
a synom pacierza u trumny...  
Jeszcze padnie, pokonany i drżący,  
i otworzy się droga powrotna z wygnania  
dla nas, gniewnych, zaciekłych i dumnych.

Kiedy już będzie po nas, kiedy tylko po nas  
pozostaną nasze dzieła i nazwiska,  
kiedy nowe burze objawią się ognistą twarzą,  
a wędrówka jeszcze nie skończona,  
pójdziemy pokłonić się z bliska  
w polską ziemię wrośniętym cmentarzom.

## IV

Szlaban zamknięty. Gryzące sumienie,  
tylko w pieśni została czuła miłość.  
Kiedyś wrócę, choćby mrocznym cieniem,  
pochylić się nad matki mogiłą.

Nie mogło być za życia. Może płodnym ziarnem  
kiedyś te wiersze dla wnuków wybuchną...  
Więc tylko kilka słów — jakże niezdarnych! —  
by pozdrowić Jej najświętsze próchno.

## NASZE GRANICE

### I

Tam gdzie jasny miecz i ciężki pług,  
gdzie się lemiesz z czarną ziemią porał,  
gdzie wśród borów i rozlanych strug  
dłoń chwyciła za stylisko topora;

gdzie zadumą pociemniałym brwiom  
leśny wicher gorycz stepu przybliży,  
gdzie gorące kaliny bujną krwią  
obmywają czarne stopy krzyża;

gdzie puszczone stępa siwy źrebiec  
węszy czad i na wieczorne cienie parska,  
a skłębione chmury na niebie  
podpełzają jak horda tatarska;

gdzie co nocy swawola złym snom,  
a sny groźne z burzami są w zgodzie,  
gdzie spalony ręką wroga dom  
i wycięte jabłonie w ogrodzie...

Tam zaciosaj na zawsze graniczny swój znak,  
mogiłami gęsto kopce wyznacz,

by ci z pól, rozłogów i młak  
nie spłynęła wykrwawiona ojczyzna.

I gdy pieśń, szalona pieśń od Wschodu  
truje serce jak łyk okowity,  
waruj, pilnuj ojcowskich rodowodów,  
cmentarzami dziedzictwo swe wytycz.

## II

Jeszcze pochylę się czule  
nad dalekim kaukaskim cmentarzem,  
wezmę w ręce ciężką grudę ziemi,  
akacjowym gąszczem zarosłą;  
jeszcze w pamięć synowską cię wraże,  
proch najświętszy do ust przytulę,  
jeszcze imię twe ujmę krzepko w dłonie,  
by mi w życiu było jak wiosło.

A od ojca zdeptanej mogiły  
podam hasło wołyńskim pagórom,  
by chroniły, by nie wydały  
ubożuchnej panińskiej truchły.  
Niech spoczywa pod słońcem i chmurą,  
niech zetłałe kosteczki i żyły  
w nadhoryński wrosną czarnoziem  
i by ziarna ich nie zagłuchły.

I pokłonię się jeszcze po raz trzeci  
mogile, najgłębiej rozdartej,  
w podsmoleńskim, naddnieprowym lesie,  
gdzie mu czaszkę kulą wroga przebito —  
niech sprawuje naszą wieczną wartę  
na skrzyżowaniu stuleci,  
niech na rękach związanych uniesie  
nieśmiertelną Rzeczpospolitą!

## III

Więc dopóki wiatr ogień rozżarza  
w prochach zmarłych, nim dołączysz i twoje,

będziesz trwał na odwiecznych cmentarzach,  
jako szabla wbita po rękojeść.

I po wieki wieków jasny lemiesz  
będzie trącał o zbutwiałe polskie kości,  
które wrosły w niewolniczą ziemię  
gorzkim ziarnem zacieklej wolności.

## II

### DUBLANY

#### I

Ucichł niepokój straszliwego dnia,  
gwiazdami noc do źrenic prószy,  
w bylinach wiatr, jak czyjś ostrożny krok —  
znad sadów mgła,  
czy siwy dym pastuszy —  
to śmierć odchodzi od żołnierskich zwłok.

Sine pagóry stromo zbiegły  
ku dolinom,  
wieś, ciężko dysząc, zwała się na wznak,  
pod stopą dźwięczy szkło i skrzyp strzaskanej cegły,  
na wargach smak gorzkiego płynu  
i serce tłucze,  
jak złowróźbny ptak.

Uroczne głosy i kroki nam nie kłamią,  
wtórzą im cienie smukłych topól —  
gwarzący liśćmi mroczny sejm...  
Teraz na dnie tej nocy, jak na dnie okopu,  
żelazo z ramion  
razem z troską zdejm.

Pod niebem roziskrzonym, jak pod gałęzią wiśni,  
niech ci zabręczą gwiazdy złotym rojem pszczoł,



i niechaj ci się jeszcze raz  
miniona prawda przyśni,  
w którą wierzyłeś,  
nimeś oczy widokiem zguby struś.

Na mrocznym polu śmierci świeci ktoś latarką,  
do czoła lgnie topoli  
mokry liść —  
i noc, i wiatr, motorów głuchy warkot,  
i oddech gwiazd, pod którym powoli  
trzeba iść.

Więc jakiz sen w tę noc wywołać  
i dźwięki czyich imion,  
gdy cała ziemia, jak stygnący trup,  
i mgliste drzewa, jak gromnice dymią  
u milczącego sioła  
wyprężonych stóp.

## II

Błady świt senną ziemię z drętwoty wynurza,  
wiatru śpiew  
na najwyższej oberwał się nucie —  
w wyrwach śmierci, wśród kłęski potrzaskanych drzew  
legli cicho na wzgórzach  
bagnetami polskimi wykłuci.

Obróć oczy za siebie, rachmistrzu żałości,  
policz znaki doczesnych met  
na cmentarza wiejskiego darniach.  
Hołubiła nas ziemia, kołysała w szelest i szept,  
teraz żyły i kości  
z powrotem w ramiona przygarnia.

Stoi obłok wysoki, ptak świegoce,  
cisza dzwoni świerszczem.  
Wszystko, ziemio, widziałas, żeś taka spokojna.  
W łunach zmierzchy i noce  
napływają nie pierwsze,  
nie pierwszyczna ci pożar i wojna.

Wszystko, ziemi, przetrzymasz, przeczekasz  
i wytrwasz —  
ty się jedna nie poddasz, choć ugną się słabi.  
Cóż że nam osmalonym w odwrotach i bitwach,  
ciężki sen na powiekach  
i w rękach bezsilny karabin!

Przeminiemy — i serca, zwątlące, jak wosk,  
pod tą zorzą  
gasnącą w czułych piersiach zastygną,  
inni oczy radosne do szczęścia otworzą,  
obojętni na mroczny nasz głos  
przepalony klęską i maligną.

Ciężka chmura zapowiada się gromem,  
wschodnie niebo stoi w błyskawicach,  
otwierają się dni nowym dziejom i przyszłym latom.  
Dziś, gdy oczy znużone  
zakrywa nam śnica,  
odsalutuj nas, czarna zatrato!

## NOC NAD GRANICĄ

### I

Załamala się noc, księżyc w chmurę się stoczył  
i zgasł —  
gwiazdy płyną nad nami,  
jak rozsiane na wiatrach ognisko —  
tylko mrok, tylko las  
otoczyły czarnymi skrzydłami  
i za górską przełęczą ostatnia granica już blisko.

Gdzie i dokąd naszej pieśni się nieść,  
słowom jakich tęsknot i pragnień,  
kiedy drzewa zamarły i stoją, milcząc, nad Prutem...  
Zeszedł żołnierz na drogę,  
po rękojęść wbił w ziemię bagnet  
i żałobną zwiastunkę wieść,  
jak śmiertelną wypił cykutę.

Jeszcze dech pod mundurem,  
niby serce schwytanego wróbla,  
jeszcze wargę zdrętwiałą odezwać się sili...  
Idą widma skrwawione  
spod Chabówki, Krakowca, spod Dublan,  
wyrównują dwuszereg i pytają:  
— Coście z nami zrobili?

Wieś w dolinie usnęła,  
przywalona czarnym smutkiem strzech.  
Żołnierz słucha we śnie:  
— czwarty szwadron do walki pieszej! —  
i podrywa się, i chwyta za broń,  
ale w lesie tylko szum i śmiech —  
górskie echo w wąwozie  
długo się śmieje i cieszy.

Wiatr od nizin węgierskich nadlatuje,  
mokre czoła głaszczące —  
w kozłach broń ustawiona,  
już jej ręce jutro nie chwycą —  
i pod wiatru dalekiego tchem,  
narzuciwszy na skronie płaszcz,  
czwarty szwadron śpi nad granicą.

## II

Oj, ścielił się po ziemi siwy dym,  
oj, zanośliła się harmonia w skocznym tańcu,  
kłaniał się nisko wiatr, a wierzby razem z nim,  
gdy kawaleria szła przez Łańcut.

A potem noce stały w ogniu gwiazd  
i czarne dni zatrąty, jak straszycła.  
Po obu stronach drogi wyczekujący las  
unosił nas  
na swoich skrzydłach.

Na krowy, zlizujące rosy gorzką sól,  
kładły się cienie wirujących ptaków  
i w huku maszyn, śpiewie kul  
plutony szły do kontrataku.

Artyleryjskich koni ciężki kłus,  
piechota biegła polem, tabory szły na przemian —  
gdy żołnierz padł na ściernię, u spieczonych ust  
dyszała czarna, polska ziemia.

### III

Hałas motorów wieczorami cichł,  
biły po rękach mokre liście jeżyn,  
na szosie i po rowach wśród strzaskanych szprych  
leżeli martwi kanonierzy.

Wszedł koń zziajany w bystry San  
i chciwą wargę w zimnej wodzie topił,  
za nim kikuty białych ścian,  
stopami zanurzone w popiół.

Takeś, żołnierzu, krajem szedł,  
takim go, dni wrześnieowe, znacie —  
i naszeptował mu żałobny wiatru flet  
jego ostatni, cichy pacierz.

A teraz zmorzył ludzi ciężki sen,  
leżą, zwaleni snem strudzonych chłopów,  
jakby nasłuchiwali — gdzież jest ten,  
co miał ostatni zejść z okopu?!

Ponad granicą żołnierz śpi. A paszcze lwów  
rozdziera ryk i gniew podnosi grzywy,  
że w czarnej dobie kłęski znów  
uchodzi z kraju pół rycerzy żywych.

### IV

Tylko wiatr w ostatecznej odpowiedzi,  
tylko wiatr po górach rozpedzony.  
Żołnierz rzuca się we śnie i bredzi  
imionami matki i żony.

Woła matka: Synku, synu! Oto marznę nocą,  
ziąb się wdziera przez wyrwane wierzeje...

— Matko, matko, przyjść nie mogę z pomocą,  
wbity w ziemię  
mój bagnet rdzewieje.

Woła żona: Mężu, mężu, dopomóż!  
Otom głodna, bezdomna, w jednej chuście...  
— Żono miła, sam dziś nie mam domu,  
świat mnie zdradził,  
wódz mnie opuścił.

## V

Tak dotąd jeszcze noc, marszcząca brwi,  
i ciężar snu —  
toczą się gwiazdy w kołowrocie wiecznych przemian.  
Pobity żołnierz śpi,  
lecz w mroku znów  
niepokonana wstaje ziemia.

Bezsilny bagnet rdzą przeżera ból,  
ucichły pieśni potargane tony,  
lecz za górami z krwią przesiąkniętych pól  
zbudzi się świt  
Nieustraszonych.

## KOŁYSANKA ŻOŁNIERSKA

A kołysz-że się kołysz, kolebeczko lipowa,  
leż, syneczku, cichuteńko, jak ta trusia...  
Twój ojciec nie powraca, gdzieś na polach, w dąbrowach  
ciężko pospać się musiał.

Przed słońcem się zasłania, patrzy gospodyni,  
siwe oczy wypłakuje matka stara —  
jedni snem nieprzespanym poległi, a inni  
na dalekich Madziarach.

Zagładają malwy w okienko,  
niska mgła nad łąkami się ściele —  
— dzwoń w ostrogi, przytupuj, jakieś ułan...

Szła śmierć dołem, wądołem, przykucnęła w popiele,  
gdy rannego żołnierza poczuła.

A i cóż to się ludziom wydaje,  
że nie pierwszy z ciebie w całej wiosce tancerz...  
Niechże wyjdą przed progi sąsiedzkim zwyczajem,  
gdy powracasz na żałobnej furmance.

Kiedyś szedł do poboru, było prościej,  
zwykły chłop, to i głupi!  
Gospodarzy nie stało, gdy nadciągnęli goście,  
a tyś jeden własną krwią się upił.

Teraz sobie podumaj, leżący na miedzy,  
na coć chłopska zdała się krzepa —  
wystrugali ci krzyżyk milczący koledzy  
i odeszli, i ślad po nich przepadł.

Śnieżne wiatry przelatują przez to martwe pole,  
stara wierzba się chyli —  
oj, przepili panowie twoją chłopską dołę,  
jeszcze raz ją po karczmach przepili.

I pieśni nad twym grobem, jak krzyk świętokradczy,  
choćby najbardziej szczere.

Jedno to:  
przed swoimi i wśród obcych zaświadczyć,  
jakoś dobrym był grenadierem.

I mroczny cień się kładzie na ostatnich słowach,  
wargi bezdźwięcznie coś plotą...  
A kołysz-że się, kołysz, kolebeczko lipowa,  
śpij cichutko, żołnierski sieroto.

## BÓJ POD WIZNĄ

*Pamięci Jana Bociańskiego*

### I

Opowiedzcie wszystkim obcym ojczyznom  
o nieznanym im dniach polskiego września,

o nieśmiertelnym boju pod Wizną,  
dotąd nie wyśpiewanym  
ani w legendach, ani w pieśniach.

Jeszcze żyją okoliczni chłopci,  
przekazujący tamte dni wciąż nie ziszczonym latom —  
świadkowie ponownie nadaremnych Termopil,  
po których nie miał przyjść  
żaden zwycięski Maraton.

Najpierwszy grzmot nadzieją się przedłużył  
i nocna ziemia stygła w krwawych ranach,  
gdy spadł na skrzydłach czarnej burzy  
żelazny korpus Guderiana.

A naprzeciw placówka, która tylko śmierci  
do swojej klęski zechciała się przyznać...  
Zalegli w schronach osamotnieni strzelcy:  
na głównej linii oporu odcinek Wizna,  
o drugi krok od zguby pododcinek Gielczyn.

Nike bezgłowa, ty jedna wiesz, co czynisz!  
Jako w katedrze kamienieckiej rycerze owi  
przysięgali, że jej za życia nie opuszczą,  
nieulękli kapitanowie:  
Schmidt i Raginis.

Ty, poeto, o nich opowiesz,  
choćby twe słowa miały zginąć na pustyni!

## II

Każdy się zgodnie w tej samej myśli ubezpieczył:  
świt nadejdzie, zaraz noc jego śladem...  
Wiedzieli, że daremnie spodziewać się odsieczki;  
nie będzie jej.  
Są skazani na zagładę.

Nie będzie więcej zmierzchów i świtań takich,  
by się ich urodą zachwycać.  
Ale o nic, piechurze, nie pytaj,  
póki znajdziesz naboje w ładownicach.

Raginisa, Brykalskiego, Schmidta  
wnet opadnie wiekuista śnica.

Już się szala ku ziemi na zawsze przechyla.  
Trębacz, graj ostatnią walecę!  
Jeszcze z garścią żołnierzy porucznik Wiland  
otworzy sobie drogę bagnetem;  
kapitan Raginis założy ostatnią taśmę,  
potem wybuch granatu...  
I już mu jest najjaśniej,  
gdy swe życie ofiarował ojczystemu światu.

Nike Samotracka, tam ciebie właśnie  
zabrakło,  
więc od zapomnienia ich uratuj!

### III

Już nie ma amunicji.

Kapitan Raginis kazał swoim ludziom się poddać,  
za granat uchwycił,  
otworzyła mu się niebiańska gospoda,  
gdzie czekali kamienieccy rycerze,  
nie chcieli zamknąć gościnnych wierzej...

Święty Piotrze, rękę mu podaj,  
jenże młode życie złożył w ofierze.

### IV

Nadjechał niemiecki pułkownik,  
obejrzał gromadkę skrwawionych żołnierzy.  
„Gdzie reszta jeńców?” „To wszyscy!”  
„Ilu wśród nich oficerów?” „Ani jednego, Herr Oberst!”  
Zasalutował. Odjechał.  
Polscy oficerowie pod Wizną wybrali śmierć.

Tylko jeden z nich, ciężko poraniony,  
nie oglądał kapitulacji...



Wszyscy myśleli: kapitan Schmidt także nie żyje.  
Wyżył. Jest polskim emigrantem w Londynie.

Na wieki z bojem pod Wizną związane jego imię.

## V

Widziano.

Pod nawałą artyleryjską,  
zda się, wiek heroiczny na chwilę przystanął  
nad małą chłopską dziewczynką,  
co rozpałała przy miedzy ognisko,  
by dla żołnierzy  
upiec ziemniaki w gorącym popiele.

Raz jeszcze z karabinu do wroga wymierzył  
ostatni walczący strzelec.

Nieśmiertelna Bogini Zwycięstwa,  
jakże temu chłopskiemu dziecku  
do twych skrzydeł rozwianych było blisko!

## VI

Ziemia otworzyła się szerzej  
na przyjęcie żołnierskich zwłok,  
na krew, wytoczoną z żył —  
ostateczne i najświętsze przymierze.

Gdybyś tam wtedy był,  
tobyś odzyskał zachwycony wzrok,  
ślepy Homerze!

Wrzesień 1980

## MONTE CASSINO

### I

Tu widać siedem dróg z górskiego szczytu  
i ziemia cofa się, garbami płynąc wstecz...

Przechodził tędy zbrojny szlak Samnitów,  
tu afrykański krwawił się pugińał,  
aż wbił się po rękojeść rzymski krótki miecz  
i wyciął w skałach  
Via Casilina.

Więc po tej drodze znowu trzeba spływać krwią,  
żeby się oprzeć Swewom, Gotom i Wandalom.  
Nim zachód zejdzie ku ściągniętym brwiom  
na potrzaskanych ścian bezwładne cegły,  
niechaj napłyną rzeki mętną falą,  
by obmyć skronie  
żywym i poległym.

Kto się pokotem na tych zboczach kładł,  
w historii progu legł protestem w poprzek.  
I nieporadne dłonie przechodzących lat  
trupa z doliny rzeki nie wyważą.  
Czarnym grabarzom niechęci się oprze  
i będzie trwać  
i świecić groźną twarzą.

Bo taka śmierć jest Bogu niedaremna,  
więc, choć nierychły, nie poda jej w marność.  
Wezbrana zemsta z Wisły szła i z Niemna,  
by Puszczę Teutoburską rwać, uwięzłą w głazach,  
i krew wolności siać jak ziarno  
na przekór prawom  
ognia i żelaza.

## II

Na zawsze ten krajobraz zapamiętał  
długie zmagania narodów i armii.  
W italskie skały wrósł żołnierski cmentarz  
i obcą ziemię bujnym prochem karmi.

Czas na zakręcie dziejów go wyminął,  
nim się odrodzi ku idącym bitwom.  
Czerwone maki spod Monte Cassino  
jeszcze w ojczyźnie na nowo zakwitną.

Pobojowisko stanie w gęstym dymie,  
Bóg się wywyższy nad tyranów władzą.  
Drzemiące pędy wojennych ozimin  
cmentarną ziemię na wiosnę rozsada.

Tu jeszcze krzyże w wędrówce ugrzęzły,  
w strzępy porwały się tasiemki frontów,  
lecz dłoń je zbierze, pozaciska w węzły  
i znów uniesie nad skraj horyzontu.

Bo nie ma w świecie takiej drogi  
przez mrok i wicher i ognia grad,  
żeby żołnierskiej bosej nogi  
przepadł na marne krwawy ślad...

Bo gdy się glina w burzy pognie,  
a wicher z niej pozłotę zdarł,  
w szarym popiele starych ognisk  
tli nieugasły żar.

I ten podziemny żar cmentarzysk,  
jak skryty magnetyczny prąd,  
na nowo łuną się rozjarzy,  
nie wiedzieć jak i skąd.

### III

A cmentarz dotąd łbem kamiennym tłucze  
w podnóże skały, na którą się darli.  
Rzym otwierali okrwawionym kluczem,  
myśląc, że drogę do Polski otwarli.

Gdy świat uwierzył w bałwochwalców pychę,  
zawarł szlabany, usiadł i nie puścił.  
Zaklinowali nam bramę wytrychem  
tryumfujący ślusarze-oszuści.

Lecz klucz pozostał! Tkwi w żołnierskich dłoniach!  
Czeka — na drogach rozstajnych nie zginął —  
aż Mater nostra, aż Mater Polonia  
wróci pod Monte Cassino!

## NA ŚMIERĆ GENERAŁA ANDERSA

### I

Nie panegiryk pośmiertny, ani płacz,  
świadectwo życiu, co odeszło.

Nie wymieniamy czynów, ani zasług,  
wystarczy, żeśmy przekazanemu hasłu  
poddali nasze serca.

Odtąd tylko wierność  
danemu słowu. Płomień szedł ku cierniom,  
by krzak się zajął. I każdy z nas wierzył,  
że Bóg ukryty w nim, choć dotąd nie zagadał.

A teraz tylko żałobna parada  
tych, co ostatni  
z pobitych żołnierzy.

Tylko kamienne krzyże, wylatujące ku niebu,  
tylko zdławiony krzyk jeszcze jednego pogrzebu;  
jeszcze jedna  
zgaszona pochodnia nad konającym obozem,  
ta trumna — protest, wyzwanie i pozew  
przed Sąd, który wciąż tchórzy,  
który się dotąd nie zebrał.

Czarny okręt, co przybił z dalekiej podróży,  
strzaskany rudel i maszty i żebra,  
ale dłoń niewidzialna  
banderę hissuje na reję,  
ale przy działach tlą się zapalone lonty —  
patrzy załoga, czy jeszcze nie dnieje,  
czy nie oznajmia się hukiem  
przyptyw dziewiąty.

### II

Nie panegiryk pośmiertny, ani płacz,  
świadectwo życiu, co odeszło.

Kamienny most, za przęsem przęśło,  
ty, wicherze, teraz prosto w oczy patrz,  
wicherze, co takich trumien zatraskujesz wieka,  
wiejesz w tłumie, a zwlekasz,  
gdy na ciebie czekają,  
aż zstąpisz w gromach z Synaju  
z testamentem wolnego człowieka.

To nie próchno, które jutro zetje,  
to złożony pod ziemią dynamit.  
Trzeci kur tryumfalnie zapieje  
i odrodzą się dzieje  
w nas, przez naszą mękę,  
razem z nami.

Oto ziemia pożarem się pali,  
przetrawiona tylu grobów sumieniem.  
Idziesz, Cieniu, a za Tobą wszystkie cienie  
z pola nie zakończonej jeszcze bitwy.  
Gdy tej wiosny w Polsce i w Italii  
od krwi czerwieniej  
gorące maki rozkwitły.

### III

#### DEDYKACJA

Tym, co wyznają wyłącznie poezję czystą,  
laborantom, alchemikom, jubilerom, awangardzistom,  
czytać tych dytyrambów nie radzę.  
Bo rozłożyły się wojującym obozem,  
krzyczą ze szpalt nieprzystojnie, raz po raz przechodzą w prozę,  
choć wiersz ciągle nad nimi ma władzę.

Szorstkie, chropawe, jeżeli potrzeba — chamskie!  
To chłopski bimber, nie złociste wino szampańskie,  
które lokaje podają sprzedajnym dyplomatom.  
A jeśli kogo trzeba twardym słowem namaścić  
i strzelić w pysk i zawołać: wciórności! —  
to i na to lecę, jak na lato!

Powiecie, gdy słowo zziajane, jak źrebiec, i rzy i parska,  
że to rzecz nie poetycka, lecz dziennikarska,  
bo albo bije, albo rozdaje prztyczki...  
Tak, to wiersze namiętne są, nieprzejednane,  
nie z tych, co wykrcęją się sianem  
i nakładają na trwożne ręce białe rękawiczki.

A już jeżeli rękawice, owszem, ale bokserskie;  
a na robactwo ukrop, nie proszki perskie —  
tylko tak wiersze męskim rytmem krzepną.  
A któremu opadają ze strachu portki bez szelek,

tego za ożydle, a potem za obertelek,  
wykopać z izby i za próg wysiepnąć!

Więc dedykuję moje wiersze tym, co jeszcze  
nie chowają się pod parasolami przed deszczem,  
lecz gotowi są biec z bagnetem na broni;  
tym, co mięśnie mają nie osłabłe  
i nie chcą, choć ich kuszą, paktować z diabłem —  
tym nie umknę poetyckiej dłoni.

Są i tacy, którzy mnie mają w czułej pamięci.  
Towarzysze walki, wam bym chętnie poświęcił  
te słowa, pisane krwią, nie atramentem.  
Którzy, choć skronie macie oszronione, wciąż jesteście żywi,  
wam, zawsze wierni naszej sprawie, zawsze sprawiedliwi,  
gotowi podjąć czyny, niegdyś rozpoczęte.

Nigdy nie chciałem świadczyć się wyłącznie dźwięcznym słowem;  
ja jestem z tych, co wiersze tylko za połowę  
życia biorą, a później skaczą ku dzikich koni grzywom.  
Skoro już w wojnie trwamy, to od wiersza wołę  
dobrze podsypyany prochem pistolet,  
a poezja to tylko krzesiwo.

Odcinajmy się od deztererów i zbiegów,  
ramię do ramienia w zwartym szeregu,  
przeciw wrogom Pana Boga, więc w imię Boże.  
Zanim Antychryst zdoła nasze groby przeorać,  
jeżeli klęska, to niechże będzie Cecora,  
bo jeśli przyjdzie zginąć, to ma być w honorze!

## SZTYLETNICY

Słowa żyją. W ich żyłach kipi krew  
ku walce, nie ku zabawie, ni zalotom.  
To rzecz na śmierć i życie. Więc poetycki śpiew  
ma być jak krwotok.

Przestraszyłeś się, poeto. Wolisz się kryć.  
Nim zacząłeś, podły lęk już zdjął cię...

Nie chcesz wiedzieć że wiersz twój ma być  
ciosem noża po wezbranej aorcie.

Urodziliśmy się w bolesnym krzyku  
i tym krzykiem, a nie bezradnym płaczem  
sprzeciwiamy się zbrodniom i sfałszowanym kartom.  
Nam należeć do sekcji gniewnych sztyletników,  
bo inaczej  
w naszych czasach żyć nie warto!

### CZTERNAŚCIE KUL

Oto konie Apokalipsy w pobliżu już tętnią,  
wychylają się ze strutej mgły szydercze pyski szatanów,  
zguba nadchodzi — wszystko według planu —  
a niebo patrzy na nas gwiazdą beznamiętną.

Jak drżącą ręką trafić na bijące tętno  
epoki, jak z huczących nurtów Oceanu  
łódź naszą wyprowadzić? Ze spalonych łąnów  
nie trwoga wstaje; gorzej — rośnie obojętność.

Co dnia wołamy z nadzieją: — Pod Twoją Obronę,  
Matko Najświętsza,  
do naszych domostw powrócić nam zwól!

Lecz możni świata nadal mają dłonie ubłocone,  
nie obchodzi ich rozpacz bezbronnych, ni serdeczny ból.  
Więc niech wybucha gniewny, nieubłagany sonet —  
czternaście wierszy, jak czternaście kul!

### W ROCZNICĘ REWOLUCJI

Krwawy sztandar zarazy w samo serce globu się wwiercił,  
groby zarosły trawą na zdradzonym okopie,  
nad opustoszałymi katedrami coraz to chmurniej.  
Obchodzą swe rocznice złodzieje i mordercy...



I słyhać wrzawę w Europie,  
to oklaskują ich obzarte durnie.

Już się rozjuszył, rozwiemoził, rozchamił,  
wrzask tryumfalny z wszystkich głośników,  
już z trąb mosiężnych zbrodniczy hymn wybuchnął.  
Idą, obwieszeni orderami,  
przytupują buciorami w karnym szyku —  
dziś zaraza, a jutro próchno.

A jak się to zdarzyło, jak się to zaczęło?  
Wystrzały w piwnicach brzmiały głucho  
i leciał z nieba rozżarzony popiół...  
Wtedy zrodziło się zatrute arcydzieło,  
niemieckie piwo, zmieszane z moskiewską siwuchą:  
— *Dajosz Arszawu, dajosz Jewropu!*

Kur na dachach zatańczył czerwony,  
objawiły się wszystkie ukryte demony,  
chłop wykopał siekierę Pugaczowa;  
za więzienia, za szafoty, za szpicruty  
przyszedł czas straszliwej pokuty,  
takiej zemsty Trzeci Rzym się dochował.

Ale nie nastąpiło zadośćuczynienie za grzechy,  
ale wicher, walący pałace, pozrywał także ubogie strzechy,  
możnych i nędzarzy zarówno zniszczył.  
Aż po nadaremnym powstaniu Kronsztadu  
wdeptano wolność w błoto i oddano ją katu,  
nim zdążyła  
wywikłać się z pobojowisk i ze zgliszczy.

Już płomienie na zużle przepalają usta,  
krzyk poetki się urwał, gdy głupcy śpiewali chwałę:  
— Rewolucjo, dziewczko rozpustna,  
na sołdackiej piersi oszalałej!

## M A J A K O W S K I E M U

Ano, cóż, towarzyszu Majakowskij,  
teraz wiesz, gdzie był błąd w poetyckiej rachubie...

Miałeś zwierzyć swe śmiertelne troski —  
komu? — Lili Brik, czy siostrze Lubie?

Nie udał ci się romans paryski,  
emigrantka wracać z tobą do Moskwy nie zechciała;  
nie uwierzyła ci we wszystkim?  
Przestraszyła się i odkochała?

Jakże miała ci zaufać, skoroś sam nie ufał,  
twoja własna wina, że cofnęła się nieufnie...  
To dlatego do skroni przyłożona zimna lufa,  
cóżeś w chwili ostatniej ujrzał w owej lufie?

Napisaleś: — Rozbiła się miłosna łódka,  
wyczerpany życia incydent...  
Nie, nieprawda, to nie była miłość, ani wódka  
żeś zawołał do śmierci: — Już idę!

Zabrakło tchu, gdy kamienna stopa krtań przygniotła,  
gdy otoczono cię żandarmów chórem,  
to nie była błyskawica rewolucji,  
to była krwawa miotła,  
na której więdźmy leciały na Łysą Górę;  
wydawało się — będziesz wolności prorokiem,  
a wypełży z mroków smoki stuokie,  
opluły cię, znieważyły, napoiły jadem;  
od samego początku skazały na zagładę —  
więc nie samobójstwo, po prostu rozwaliłeś drzwi,  
aby zmylić nadbiegający pościg.

Tak poeta za cenę własnej krwi  
wyrwał się z niewoli ku wolności.

Liryczni poeci zawsze wychodzili rewolucji naprzeciw,  
rewolucja pożera rodzone dzieci,  
a poetów swych wdeptuje w krwawe bagno...  
Majakowski, byleś rewolucji dźwięcznym dzwonem,  
aż pękło serce dzwonu i twe słowa pohańbione  
wyrzucono na śmietnik.

Tegoś pragnął?!

Jakże, w Moskwie masz stację metra swego imienia!  
Czy śniłeś o tym, gdyś swe wiersze wymieniał

na slogany, na hasła rewolucyjne?  
Słyszysz? — wołają: — Lewa, lewa, lewa!  
I słucho szary obywatel i ziewa  
z nudów; już mu dawno stęchło twoje imię.

Majakowski, przekładałem cię niegdyś na polską mowę  
z podziwem i miłością,  
dziś mi twe wiersze stają w gardle ością,  
jak i tobie stanęłyby, gdybyś mógł zmartwychwstać...  
Majakowski, szczerze, nie ku sławie, ani ku zabawie,  
służyłeś za życia złej sprawie,  
teraz już wiesz: To prawda oczywista.

Idą głuche stulecia, znieruchomiała spoglądają twarzą,  
niepotrzebna jest poezja katom i zbrodniarzom,  
trwożą się każdej myśli, gdy nazbyt górnio ulata.  
Tylko doboszem miałeś być, nic więcej,  
chwalcą tych, co obcinają niepokorne ręce  
i zamykają czułe serca w zgniłych kazamatach.

Jeszcze ci się los nie pogmatwał,  
jeszcze czas był cofnąć się wstecz,  
gdyś powiedział:

„W naszym życiu umrzeć sprawa łatwa,  
stworzyć życie to trudniejsza rzecz!”

I zbyt późno cię opadła myśl słuszna, choć zdrożna  
że w twym kraju można tylko umrzeć —  
żyć prawdziwie nie można!

## NOC PRZERAŻENIA

### I

Różga ognista wznosiła się i kładła na łądach,  
ktoś czarny niebo rozrywał, w krąg się rozglądał,  
widziadła przykucnęły na opuszczonym okopie.  
Ziemia była pokryta wrzodami i trądem,  
gwiazdozbiory zapadały w zgniłą topliwą.

Pieśni kruszały w zębach, zaledwie się zrodziły,

krtań były pełne słów, a wszystkie nie te...  
Chmury jak sine wzdymały się żyły  
i mroźny wiatr ciął usta jak sztyletem.

Nie poznawano się wzajem, bo gęby zżarte ospą;  
fałszywych proroków unoszono na rąk piszczelach.  
Co który chciał się ocknąć, znowu się pospał;  
walili się pokotem. Świt nowe groby pobiełał.

Wolni zazdrościli bydłotom roboczych jarzem,  
oślimi głosami trąbili retorzy wymowni;  
święto na Łysej Górze wciąż trwało w pożarze,  
gdy pędziło na miotłach sto tysięcy czarownic.

Dokładnie liczyli zarobki. Ludny i gwarny był rynek.  
Lecz marsz żałobny odzywał się w każdym śpiewie.  
Poeci kręcili korbami katarynek.  
Pod latarniami czekały Muzy. Było ich dziewięć.

Tłum wył. Jemu jedynie Muza Dziesiąta —  
niech go ukoi, niech zgniecie w czułych uściskach!  
Opasłe szczury czekały po wszystkich kątach,  
wiedziały: ludzkość się kończy —  
więc ich godzina jest bliska.

Ten i ów jeszcze próbował przy świetle pochodni  
wyświecić z miasta gromady płazów i gadów...  
I zagrzmiął głos:  
— Skoroście swoich praojców nie godni,  
odejdźcie w mrok i przemijajcie bez śladu!

## II

Noc za nocą — posepniej i mgliściej,  
od zapadłych uroczysk podkradają się cienie,  
wilkołaków zdławiony warkot...  
Jeśli sami nie zdołamy się oczyścić.  
Ty nam przemyj krótkowzroczne oczy,  
Ty nas oczyść  
płomieniem i siarką!

Ktoś pod ścianą trwożliwie przebiegał,  
cuchnie prochem, tłumy we drzwiach się cisną  
i Michała Archistratega  
miecz wyrwany z pochew zabłysnął.

Jastrząb krąży i kwili i woła,  
i dlatego bym pragnął jeszcze raz się pomodlić,  
lecz nie w ciszy opustoszałego kościoła —  
pod wichurą, na bojowym siodle.

## PRZEKLEŃSTWO

Kto się w opiekę poda Panu swemu  
i całym sercem szczerze ufa Jemu,  
tego Pan swym Aniołom poleca.  
A was, bałwochwalców, za głupotę i zuchwałość  
starozakonnym zwyczajem wykląć by należało  
przy czarnych świecach.

Wiedźcie — nadejdzie od Wschodu bezlitosny Abaddon,  
na czele hufców Goga i Magoga,  
wpędzi na pole krwi, które się zwie Harmagedon...  
Za dnia nastąpi ciemność, a w nocy — bladeść,  
zaraza rozpanoszy się na wszystkich drogach  
i przyjdzie grad i deszcz i głód ku waszym schedom.

Spadnie szarańcza i chrząszcz bez liczby pożre wasze plony —  
i będzie szalał wszystek lud, jak nawiedzony,  
nie widząc, że już wróg stanął w miasta bramach.  
A nawet jeśli ockną się co odważniejsze męże,  
za późno, by zastawić się sprawnym orężem,  
bo duch wasz osłabł i oręż już się złamał.

Iżecie klaskali dłońmi i tupali nogami w uciesze,  
gdy ginęły ludy prawowierne, ku każdej waszej strzesze  
nadleci, pióra rozpuściwszy, czerwony kogut.  
Rozleje się zagłada od morza szerzej,  
rozwali Anioł Zemsty miejskie mury i wieże —  
i będą pobite wasze córki na każdym proggu.

Niech nadchodzi krwawy Sannacheryb  
i babiloński Nabuchodonozor,  
niech wypełnią wasze domy hańbą, serca — grozą.  
Gdzie był rynek bogaty — bezludny i suchy parów;  
aż opaszecie się włosiennicami  
i ogolicie wasze głowy i niech je popłami  
sypki popiół, co spada z pożarów.

Boście synowie zatwardziałego oblicza  
i nieposkromionego serca...  
Nikczemny rozpanoszył się u was obyczaj,  
każdy wasz kapłan — łgarz, prorok — przeniewierca,  
tchórzliwe wasze dłonie i czoła wytarte,  
nie słuchacie, gdy do was zwraca się mowa Boża,  
bo spać aż do południa wolicie w miękkich łóżach,  
zamiast na murach zagrożonych trzymać czujną wartę.

Kto blisko jest, od miecza padnie,  
kto daleki jest, umrze od pomoru,  
kto się ostanie i będzie obłożon, zginie głodem.  
Boście zamknęli grzeszne ślepia na wroga zapadnie,  
boście uwierzyli w gadkę kłamliwych znachorów  
i tańczyliście, nierządnicy, przed oszukiwanym narodem.

Wtargnie zwierzę, które Ezechiel widział nad rzeką Chobar,  
podniosą się płyty kamienne na starych grobach,  
by miejsce uczynić dla żywych.  
Spróbujecie powrócić do opustoszałych świątyń,  
lecz drogi nie znajdziecie, bo je wróg poplątał,  
i tak się spełni gniew Pana sprawiedliwy.

## PROROCTWO

Jakże nie ustać, jakże dotrzymać kroku  
latom, co oszalały, szalejem zatrute?  
Biegną tłumy śladami fałszywych proroków,  
wrzaskliwe trąby także na fałszywą nutę  
wygrywają, składając hołd szulerom i oszustom.  
Gnieździ się w naszych sercach przeraźliwy smutek,  
czas by do świątyń schronić się,  
ale w świątyniach pusto.

Gdy honor się wymienia już nie na złoto — na naftę,  
gdy rzymski wikary wita Atyllę bruderszaftem  
i klucz świętego Piotra w Tybrze topi,  
kogo mają zwoływać rozesłane wici,  
gdy wojownicy — ślepi, głusi, lub upici,  
zapomnieli, którądy droga do Termopil?!

Uczono nas w szkole: Ludwik Dziewiąty,  
syn Blanki Kastylijskiej, gdy Zachód się zmacił  
złą wieścią, wrogów i własnych rycerzy nie liczył,  
nie przestraszył się pogródźek, ani czarów...  
Rzekł: — Niech przychodzą ci piekielnicy,  
zapchniemy ich z powrotem do Tartaru!

I nasz Henryk Pobożny, syn świętej Jadwigi z Meranu,  
był także jednym z tych Chrystusowych hetmanów,  
co przekładali śmierć nad hańbę.  
Kogóż dziś, gdy takie słowa dźwięczą w próżni,  
kogo — powtarzam — mógłbym wyróżnić  
pochwalnym i czystym dytyrambem?

Idą chóry, Złotemu Cielcowi głoszą chwałę,  
płyną obłoki, łączą się w ciężką atomową chmurę...  
Nie żałuję już teraz — kiedyś żałowałem —  
że nie mam synów, ani córek.

Bo gdy patrzę na dzieci, biegające beztrzesko,  
nie podejrzewające, co je czeka,  
wiem: ja do zguby tego świata nie dożyję,  
ale one dożyją...  
Więc co? — mam im układać tragiczny horoskop,  
kłaść się cieniem katastrofy na młodych powiekach,  
jak Cassandra żałobnie wyjąć?

I kiedy każdy gest małym grymasem się krzywi,  
a groby wielkich przodków depczą karty,  
powiadam wam:  
— Jeszcze przyjdzie czas, kiedy żywi  
zaczną zazdrościć umarłym!

1976

## INTELEKTUALISTOM ZACHODNIM

Wy, tłuste szczury z burżuazyjnych ścieków,  
pokojowe pudle, paradujące w czerwonych kokardach,  
rewolucyjniści od siedmiu boleści!  
Deklamujecie ciągle o człowieku,  
a obchodzi was tylko waluta — byle twarda —  
tchórze bez wstydu i cześci!

Gdzieście byli, coście robili, gdy rozstrzeliwano Gumilowa,  
gdy obłąkany Mandelsztam zdychał w syberyjskim łągrze,  
gdy Annę Achmatową  
umundurowany cham przyrównał do nierządniczy?!  
Nawet do podarcia zadka nie nadają się wasze słowa,  
każdy z was zdrającą, gdy na papierze bazgrze,  
morderców dobrowolni wspólnicy!

Co reprezentujecie, geniusze? Talenty do kantów,  
po Rzymie odziedziczyliście tylko *carpe diem*  
i obyczaje późnych wieków sprzedajne,  
Akademio szanownych kapitulantów!  
W chwili próby pójdzicie z chciwym ryjem  
raz jeszcze pożywić się łąjnem!

Tyle po was zostanie, co kot parszywy napłakał,  
padła, nie nadające się nawet do żeru,  
ogniki błędne, którymi diabeł na bagnach kręci...  
Kapłani, przed Kremlem łążący na czworakach,  
salonowcy, zgrywający się na Robespierrow,  
masturbanci, nekrofile, impotenci!

Wam, utrzymankom, rogowcom, klempom!  
Oblanym zimnym potem, drżącym w niepokoju,  
pracowicie rozprowadzającym morowe powietrze...  
Którym się słowo postępowanie rymuje z ustępem,  
gżicie się jeszcze, jak muchy, na kupie gnoju,  
nim palec Gniewu z oblicza ziemi was zetrze!

Czy Sodoma i Gomora zna sprawiedliwych?  
Może, ale niewiele!  
Na każdego z nich przypadają tysiące psubratów.  
Jeżeli jesteś ostrowidzem, to ich na pamięć znasz...



Kazimierzu Wierzyński,  
poeto, nieżyjący przyjacielu,  
pozwól powtórzyć słowa,  
któreś niegdyś rzucił nikiemnemu światu:

— Pokażcie mi go, niech plunę mu w twarz!

## MAKSYM Y NIETAKTOWNE

Kto — w mętnej wodzie przemądrzały pływak —  
brak racji wiecowym pokrywa krzykiem  
i wolności powszednio nadużywa,  
sam stanie się barbarzyńców niewolnikiem.

Kto buduje własne szczęście i dobrobyt  
na krzywdzie innych narodów,  
sam dozna kłeski i żałoby,  
poniżenia, nędzy i głodu.

Kto ze zbrodniarzami w brudny handel się wdaje,  
byle pieniądź zabrzęczał w ciężkiej kiesce  
— bo takie są bezwstydne kupców obyczaje —  
sam zostanie sprzedany za bezcen.

Kto obojętnie przechodzi koło szafotu,  
na którym niewinnych tracą,  
sam do stryczka kolejnego już dojrzał, już gotów,  
równy trocinami wypchanym pajacom.

To nie będzie tragedia, lecz zabawne scherzo,  
polecicie do ula, jak śnięte pszczoły, posłusznym rojem,  
aby poddać się pokornie ludożercom  
i stać się ich płodnym pognojem.

Kto złożone solennie przyrzeczenie złamał,  
udając, że obietnicy uczciwie dotrzymał,  
zgniecie go na miazgę karzącej dłoni zamach  
i lęk uderzy martwymi oczyma.

Kto najpierw chwalił, a następnie zdradził  
i zdradzonego za garść miedziaków sprzedał,  
swym śmiertelnym wrogom nie stanie na zawadzie,  
przepadnie mu zbita na cudzej krzywdzie scheda.

Licząc dukaty, splami ręce łajnem,  
na weksle spojrzy, jakby siadł w pokrzywach.  
Pozna: Sądy Boże nigdy nie są sprzedajne,  
sprawiedliwa oliwa sama na wierzch wypływa.

Próżno uderzać w tryumfalne nuty,  
gdy zgnilizna na twarzy, poruszenia trupie...  
Będzie ten świat skazany i z wstrętem wypluty,  
na grobie mu napiszą: I zdrajca i głupi!

Już wojsko bazyliżków pleni się na wydmach,  
przyjdzie dzień — zguba spadnie na miasta pożarem  
i ujrzycie nadejście skrwawionego widma,  
jak do okien zagłada: — Mane, Tekel, Fares!

## ZAPARCIE SIĘ SZYMONA

Chrystus jest znowu w Gethsemańskim Sadzie,  
znowu na Jego ustach Judasz pocałunek kładzie,  
znów sąd krzywoprzysiężny zasiada w fałszywej katedrze.  
Piłat ręce umyje, zatrzęsie się ziemia,  
gąbka w occie zmaczana ostatnią skargę oniemia  
i zasłona w świątyni się rozedrze.

Przebito bok Ukrzyżowanego żołdacką włócznią,  
teraz zadają pytania niewiernym uczniom:  
— Czy byłeś jednym z tych, co przy Galilejczyku  
chadzali, lud podburzając? A ty, Szymonie,  
także i ty unieś do góry mężne skronie  
i przyznaj się do Nauczyciela w heroicznym okrzyku!

Przestraszył się, pomyślał: — To może być koniec,  
co mam się troszczyć o jakieś kukuryku!

Jednak dźwięczały w uszach słowa:

— Bardzo mi przykro,  
ale zaprzecz się mnie, zaprzecz się po trzykroć,  
zanim kur w podwórku zapieje!

Pies się zbudził, ziewnął, stanął na czterech łapach,  
obwąchał pogardliwie Szymona,  
gdy ten po raz pierwszy się zaparł —  
tak było, choć o zacnym kundlu milczą dzieje.

Gdy zaparł się, przerażony, po raz drugi,  
zaprzeczając świadectwu oskarżającej go sługi,  
poderwały się na poddaszu gołębie,  
owładnięte wzburzeniem i wstydem:  
uderzyły w alarm niepokalanych skrzydeł,  
zagruchały:

— Jak tu wierzyć przeniewierczej gębie?!

Szymonie, tak się stało przed wiekami!  
Szymonie, odtąd stałeś się Opoką!  
Ale śpiew kura nie zamilkł,  
Szymonie, nazbyt nie ufaj swym niepewnym krokom!

Huczy wicher, siecze ogniem, śniegiem i gradami  
i przygląda się wpisane w trójkąt, czujne Oko.

Dary Trzech Mędrców lekkomyślnie roztrwonione,  
Mane, Tekel, Fares nad Rzymem,  
[jak niegdyś nad Babilonem

i nad Niniwą —

Amalekici w Izraelu się panoszą,  
już ich miecze prawowiernych nie płoszą,  
gnije na pniu na czas nie zżęte żniwo.

Chwieje się potrójna korona na starczej głowie,  
wychylają się z leśnych chaszczy liście i wilkowie,  
nadęci nieznośną pychą;  
nim Wieczne Miasto zetrze groźny morza przypływ,  
kpi sobie z trąb ochrypłych  
bezbożne Jerycho.

Pożar nad Winnicą Pańską wystrzela,  
jak nad torfowiskiem, dymem zgniłym i gęstym,

znaki na niebie zapowiadają burzę niezwykłą,  
czerwone race ognia zapładniają żywoty chmur...

Szymonie, zaparłeś się Nauczyciela,  
nieszczęsny,  
zaparłeś się go po trzykroć!

I już zapowiedziany pieje kur!

1972

## IV

### KANTATA NA INTRONIZACJĘ JANA PAWŁA II

*Wnętrza kościołów on powymiała...*

Juliusz Słowacki

#### I

Powtarzajmy słowa psalmisty.

„Czemu knujecie próżne zamysły?  
Czemu zmawiacie się przeciw Bogu i Jego Mesjaszowi?  
Potkniecie się na waszych wierzganiach i dąsach!  
Zanim Jahwe swym gniewem wam odpowie,  
śmieje się z was i natrzęsa.  
Powiada Pan do Syna: — Gdyby Szatan im rozum zadymił  
i zagnieździł się w każdej robaczywej duszy,  
laską żelazną rządzić będziesz nimi  
i jak naczynie gliniane je skruszysz!

Kłęczymy u domostw naszych progu,  
wołamy w rozpaczliwym krzyku:  
— Panie, uderz w szczękę naszych wrogów,  
powyłamuj zęby grzeszników!  
Przepal nasze ciała aż do wątpi,  
pojmaj nas w wiekuiste jeństwo —  
ocalenie w Twojej mocy, więc niech na lud Twój zstąpi  
wszechmocne błogosławieństwo!”

## II

„Bogu Rodzica, Dziewica. Bogiem sławiona Maryja!  
Twego Syna, Gospodzina. Maci zwolena Maryja!  
Zyszczy nam, spuści nam! Kirie Elejson!”

Księżyc srebrne ćwieki gwiazd w niebiosa wbija  
i drzewa srebrzyście się trzęsą —  
zlatują gwiazdy ulewą  
ku pomnikom i rzekom i drzewom,  
ku Panny Najświętszej powiekom i rzęsom.

Która na Jasnej Górze i w Ostrej świecisz Bramie,  
podtrzymaj polskiego Papieża krzepkie ramie,  
gdy na rękę Księcia Ciemności wyzywa!  
Od dalekich nadwiślańskich stron.  
Zygmuntowski odzywa się dzwon,  
by nastąpiła nam doba sprawiedliwa!

Boga Rodzica, Dziewica,  
która od wieków polski lud miłością nasycasz  
i świecisz mu — Stella Matutina —  
zwróć swe źrenice łaskawe  
ku temu, co cię kornie woła: *Ave!* —  
Orędowniczką mu bądź u Twego Syna!

## III

Tyle lat miał blisko siebie głowę Węża  
jadowitego i codziennie musiał zwyciężać  
jego pokusy zatrute...  
Oto nadszedł w odwiecznym Znaku  
od nieustannie odnawianych katakumb,  
aby podjąć pierwszych chrześcijan nutę.

Mów tym, którzy sprawili iż się opuścił swój Kraków,  
niech odprawią zbiorową pokutę!

Bo nie wszyscy mówili światu  
prawdę, uwikłani w sieci doczesnych dyplomatów,  
nie zauważyli że paktują z Antychrystem;

nie upominali się o braci prześladowanych  
i siadały przy ich stołach pogańskie Hetmany,  
podstępnie podważając sprawę wiekuiste.

Czas wypędzić przekupniów ze świątyni  
tak jako Chrystus czynił,  
jenże przyszedł na świat  
wojować krzyżowym mieczem...  
Tyś umiał w obliczu wroga Maryję Świętą sławić,  
więc panuj, bądź sobą i nie zawiedź,  
Wikariuszu, Bogumiły Człowicze!

#### IV

Matki Boskie: Jasnogórska i z Ostrej Bramy,  
módlcie się za niego!

Archaniołowie — w czuwaniu nieustannym —  
niechaj go strzegą!

Niechaj Święty biskup Stanisław  
wręczy mu swój niezłomny pastorał!

Znów złączyła się z Tybrem nieprzekupna Wisła  
iż na wojnę z niewiernymi już pora!

#### V

Nadszedł od nieznanych świata, podgórskich Wadowic  
Rybołówca —  
będzie siecią Piotrową ludy łowić.

Pochylał się niegdyś, młody,  
nad pismami Świętego Jana od Krzyża —  
tak Teologia ku Mistyce się zbliża.

Oto w gwiazdzisty pościg  
na skrzydłach archanielskich wyrusza —  
jakiż szczęście z tych błogich spotkań!

„Och, płomieniu miłości,  
którego żar mą duszę  
najczulej rani do samego środka!”

I rozwidnia się wieczór uroczny,  
rozjaśniają się zmysłów wertepy,  
już z nimi dusza w zachwyceniu zgodna:

„Zawdy zmysł bywał mroczny,  
niezbadany i ślepy,  
a teraz światłość bije zeń pogodna”.

To o kapłańskiej wczesnej wiośnie,  
pierwszy raz w boju z szatanem kopię krusząc,  
natchnione słowa Jana zapisuje:

„Jak czule i miłośnie  
w mym łonie się poruszasz,  
dokąd jedynie w sekrecie zstępujesz —  
i tchem Swym, w którym rośnie  
ku chwale moja dusza,  
jakże łagodnie mnie rozmiłowujesz!”

## VI

Dmijcie w trąby i puzony,  
w słodkie flety i dźwięczne szałamaje,  
uderzajcie w spizowe talerze!

Rozszalały się rozradowane dzwony  
nad udręczonym krajem,  
utwierdziły się w nienaruszonej wierze.

W biedzie, w mroku, nikczemnie przez świat zdradzonym  
dzisiaj serca otworzyły się szerzej.

Od Krakowa, od Wadowic  
kobza i śpiew lipkowych skrzypiec  
rzewną nutą na rzymskie wieżycy się nawija..

Nadlatują od wierchów zachwyceni orłowie,  
pył gwiazdzisty na dachy się sypie...



Nasza mowa, nasza, nie niczyjaś!  
Przeto Wieczne Miasto modli się w polskiej mowie:  
„Boga Rodzica, Dziewica,  
Bogiem sławiona Maryja!”

## KOLEDA DLA PAPIEŻA

„Oj, maluśki, maluśki,  
kieby rękawicka...”

W żłobie, miękkim sianem wyścielonym, usnij,  
gdy juhasi śpiewają  
i aniołowie grają,  
gdy każda siklawica spada w rytmie smyczka.

Na obrazie, na szkle malowanym,  
pochylają się nad Tobą  
polskich dzieci rozmodlone liczka.

Narodzonego gdy chwałą  
ludzie różnego stanu,  
Wisła łagodną falą  
łączy się z nurtem Jordanu —  
każda gwiazda przystaje, by się Dzieciątkiem zachwycać.  
Tak samo w Betlejem,  
jak w podgórszych Wadowicach  
Bóg się rodzi, moc truchleje  
i — by odnowiły się nam szczęśliwsze dzieje —  
już na dotknięcie dłoni Piotrowa Stolica.

Z gwiazdozbiorami w znowie  
odbiegają swych stad pastuszkowie,  
zorza wstaje nad Wiecznym Miastem;  
ptactwo, myśląc że już świt, budzi się w gniazdach  
i w tej zorzy świetlistym brzasku  
upada na kolana główny Pasterz,  
a po polsku, po góralsku —  
Najstarszy Gazda.

Będzie chadzał, jak dawniej, na urwiste turnie,  
by mu tam było i chmurniej i górniej,

wędrowiec, a nie kłusowniczy strzelec —  
i będzie zstępować, jak z ognistego Synaju,  
ku jeszcze uśpionym krajom,  
popędzając pastorałem posłuszne kierdele.

I powinien pamiętać że, choć nad złobkiem cisza  
i tej nocy Betlejem coraz bardziej się wywyższa,  
i radują się żywioły wszystkie —  
światłość się rozlewa po górach i wodach  
lecz, urągając jego lasce, na granicy egipskiej  
wciąż czyhają siepacze Heroda.

W Wadowicach, jak w Betlejemie,  
gwiazdozbiory spadają na ziemię,  
byśmy byli uczciwsi i weselsi  
i zrastali się codziennie z nadzieją —

Więc *Gloria in Excelsis*,  
*Gloria in Excelsis*  
*Deo!*

## TRYPTYK O ZAMORDOWANYM KOŚCIELE

### I. ŚWIĘTY ANDRZEJ U SCYTÓW

Więc znów powierzasz się spienionym grzbietom  
ciepłych egejskich fal, biała pławaczko!  
Chryzmą pierwszeństwa naznaczony, *Protokletos*.  
wydeptał swym sandałem Kolchidę i Argos,  
Epir i Trację... Wiatr płonącym wargom  
porywał słowa i rosły na wiatrach.

A on już słyszał jak powolny hebel  
wygładza belki, jak się sznur wyplata,  
na którym go powłoką...

Aż w achajskim Patras  
wysoko wstanie pod milczącym niebem  
ów dziwny krzyż na skos  
*Crux decussata*.

Jeszcze nie jutro, jeszcze ma czas.

To południowe wiatry wieją,  
łódź zakręca jak powolna tanecznicza,  
Mleczna Droga prowadzi ku Hiperborejom,  
słony oddech płuca nasycza,  
morze wzbiera falą dziewiątą.  
Chór daleki po imieniu woła,  
ptak nad głową pierwszy znak mu przyniósł.  
I podkłada się pod sandał Apostoła  
rozhuśtany Pontus  
Euxinus.

Nie zdążył wylądować, a już ramionami zagarnia  
nowe ziemie, co w mroku ciężko dymią.  
I przesuwa w palcach jak różańca ziarna  
dźwięki dotąd nieznanym mu imion.

Zanim wspinać się zacznie rzekami  
ku stepom i borom,  
najpierw stopę postawi w przystani —  
słyszał o niej:  
Portus Symbolorum.

Pantykapea mu się pokłoni,  
od Kimmerionu  
przycwałują stada dzikich koni,  
dym ofiarnych ognisk w stepie się przyczai,  
kiedy z garścią zboża w zanadru  
wolno idzie sługa Boży, Andrzej,  
nad Borysten i cichy Tanais.



Między w blachy spiżowe przyodzianym ludem,  
coraz głębiej w mrok Kimmerii, do źródeł  
rzek, co w puszczech i bagnach się lęgną,  
gdzie nie tylko step w koczowniczych kopytach,  
lecz i kłos na monetach zakwita,  
szedł ku coraz dalszym widnokręgom.

Księgę zaklęć otwórz i czytaj,  
chroni nas swoją potęgą!

Księżyc krwią napęczniał i wiatr dziś niedobry,  
znów panoszą się Pieczyngowie i Obry,  
znowu chański zatknięto buńczuk.  
Zanim trąba archanielska na Sąd was wywoła,  
biegnijcie do stóp Apostoła,  
pod prawicę jego opiekuńczą.

W najpiękniejszej ze wszystkich legend,  
ze wzruszeniem i nadzieją odczytanej,  
idą święci żeglarze brzegiem  
krzyż zatykać nad scytyjskim kurhanem;  
zlatują skrzydła ku stepowych koni grzbietom,  
odmładzają się usta poetom,  
a on wraca  
by obalać wystawione przez pogan  
bałwany...

*Protokletos!*

Który pierwszy od Boga  
wezwany!

## II. METROPOLITA SZEPTYCKI

Wiek XIX zwolna się przesila.  
W kinkietach jeszcze płonie gaz, lecz już Edison  
rozżarzył w drutach elektryczność  
i światło spływa ku lśniącym kirysom,  
na wosk parkietów, na majestatyczną  
próchnicę tronów i trupich dynastij.

Dzwonią ostrogi. Stary Schönbrunn zastygł  
w habsburgskiej chwale, co nie wie, że jutra  
nie przetrwa. Bale, parady, w teatrów  
złożonych łóżach brylanty i futra;  
piękna epoka, choć trądem przeżarta,  
niejednych jeszcze swym uśmiechem zwabi.

A przez salony idzie młody hrabicz —  
cóż zechce wybrać? Czy szamerowany  
mundur, czy może z cesarsko-królewskiej  
łaski najwyższy urząd? Ciężkie  
szale nim zadrzą, świat ledwie poznany  
woła go, pokus przyzywa tysiącem...

Jak to jest, gdy o młode serce nagle trąca  
laska proroka i wygodnie ścieląca się ścieżka  
staje się Drogą Krzyżową? Gdy Słowo,  
niegdyś na ugór rzucone, na zawsze zamieszka  
pod językiem bolesnym...

Tak się spodobało Panu,  
że hrabicz leży krzyżem w celi Bazylianów,  
a potem pod kłobukiem, łzami matki szytym,  
zacznie pukać do bramy zatrzaśniętej  
dziejów...

Szykuj na nowo skrzydlate okręty  
imiennikowi z pomocą,  
Apostole, święty Andrzeju!

By powiązać rozłączone ręce,  
przylatujcie duchy, gdziekolwiek jesteście!  
Biały gołąb szybuje nad Florencję,  
mocne spiże zanoszą się nad Brześciem.  
Oto żywot swój w legendę przekuł:  
— Jak odrobić przekleństwo tylu wieków,  
jak naprzeciw walkom bratobójczym  
wyjść i uzdrawiać, i uczyć  
i Anioła obudzić w człowieku?!

Niebo od Wschodu gore,  
krwawe gwiazdy układają się w wieniec.  
Zbrodniarz skrada się polem,  
klusownik — borem,  
wicher chmury skłębione żenie.

On wciąż bije w bramy dziejów z uporem,  
opętany nienasyceniec!

Próżno w ziemię zatknięty twój posoch.  
Nie rozkwitnie laską Aarona!  
Znów twój lud ku cierniowym losom,  
znowu krew apostołska na ramionach  
pohańbionego krzyża.  
Już się horda pogańska przybliża  
i żywota pod jej mieczem dokonasz.

Pierzchają trwożne owce, gdy odchodzi pasterz,  
kościół spalony i lud zniewolony.  
Nadaremnie nad twoim miastem,  
już przykrytym skrzydłem żałoby,  
na alarm wzywają dzwony...

Kto po tobie weźmie ten kłobuk,  
jak uniknąć mu  
męczeńskiej korony?!

### III. HALICKIEMU WŁADYCE

Te pieśni już wtopione w anielską orkiestrę,  
te wzgórza, które niebu ścielą się pod stopy...  
Gdzież to było? Nad świętym Jordanem, nad Dniestrem,  
w śnie, za naszą pamięcią, za najdalszym światem?  
Dawno, zanim synowie gwałconej Europy  
jęli się czołgać do złożonych strzemion.  
Zanim konie tatarskie pod buńczukiem kosmatym  
nie stratowały cię, ziemio!

Zapomniano o tobie,  
nie masz miejsca w żadnym z rachunków,  
dzwony nad Tybrem nie pędzą ku alarmom.  
Nie postawiono krzyża na twym grobie.  
Pod pieczęcią judaszowego pocałunku  
zwiędły wargi  
i w źrenicach czarno.

Byłaś córką najmłodszą,  
mówili, że najbardziej umiłowaną.  
A wydano cię katowskim ostrzom,  
herodowym wydano hetmanom.

Święty Andrzej, twój apostoł najpierwszy  
znów ramiona rozłożył  
krzyżującym go po raz drugi poganom.

Święty Andrzej, który był pierwszym wezwanym,  
który przybył zza morza,  
by nawracać  
mlekiem kobylic żywiących się Scytów,

tylko on rozerwie kajdany,  
tylko on rozpali złoty pożar,  
aby stał się zarzewiem świtu.



Uhonorowano, władko, twój kłobuk,  
uhonorowano twój posoch,  
wygładzono ci blizny rzymskim balsamem.  
Ale twój lud — oddany grobom,  
ale nasz gniew — ogniem ku włosom,  
ale te usta kłamliwe,  
które codziennie powtarzają — Amen, Amen —  
splugawione w nieczystych szeptach,  
te usta,  
te usta świętokradcze!

Moją ziemię, jak i twoją szatan podeptał,  
więc tym bardziej  
twojej sprawie świadczę.

Władko pomordowanych,  
władko zgnojonych w łągrach,  
władko kościoła wpędzonego do katakumb,  
jakaż cena na twoje kajdany,  
jaką kartę dyplomata zagra  
z szalbierzami spod diabelskich znaków?

Zrywa się wicher.  
Wrywa z wnętrzości ziemi stare trumny.  
Pergaminów nie pieczętuje, bo żywił.  
Torturowano ich, mordowano ich...  
Wstań, jeśliś wolny, jeśliś dumny,  
krzyknij:

— Wasze drogi i usta się krzywią!

Władko, podnieś swój posoch,  
trzaśnij klątwą po purpurach i fioletach.  
Niech zasłona w świątyni się rozedrze!  
Umęczeni w powietrzu się niosą,  
rozstrzelani grają na swych kości fletach,  
na nich stanąć odnowionej katedrze!

Ku Wschodowi  
leci ten wiersz schrypniętym krzykiem,  
każde słowo rozdartą raną.  
Żeby wskrzesić,  
wojującego Chrystusa żeby wskrzesić!  
Przeciw szatanom i ich poplecznikom,  
przeciw nazbyt układnym kapłanom:  
— *Otcze nasz*  
*ize jesi*  
*na nebesi!*



POPOŁUDNIE FAUNA

REV. 19 37 10 1800-00

## I

### MIŁOŚĆ PODCZAS BURZY

Podpływają ramiona muskularnych łąk,  
upał runął  
na skały i w krew je rozdeptał.  
Srebrzystym ziarnem sypie rzeki strąk  
i las zieloną łuną.

To ugrzęzły w szeptach  
wargi jak w miodzie. To słońce maligną  
spaliło oczy. Abył głowę dźwignął  
od łąk, od skał, od warg i mógł nie patrzeć  
i nie smakować miodu ani chleba  
i nie zanurzać dłoni w rzece?  
Znojna gleba  
wsysa żyły i kości, każdym zgrzanym kłaczem  
wrasta w krew.

Wiatr jak pies łaskawy  
szorstkim jęzorem w usta liznął,  
otoczył mnie i porwał prawieczną ojczyzną,  
i włosów z kudłów trawy  
nie wypłaczę.

Nadeszły drzewa z tamtej strony wód  
i sinym szumem dolinę kołyszą.  
Na ich spotkanie inny z gór się wiódł  
szum...

Dawna cisza już nie była ciszą!  
Nad ziemią zbiegły się złowróźbne brwi,

zaczęła szorstka trawa gryźć do krwi;  
a tylko skały nadal rosły w łunę,  
aż czarny popiół spadł na skronie złote,  
więc gniewnym wodom odkrzyknęły grzmotem,  
niechaj się bronią, niech szamocą!

I opasana rzeką jak piorunem  
trwała dolina pod wezbraną nocą.  
A drzewa były teraz jak widziadła,  
i znojných piersi gorące kowadła  
pod młotem deszczu syczały i stygły.  
Ktoś, owinięty w strzępy szaro-bure,  
za włosy porwał nas i wbijał w skórę  
aż do srebrności rozżarzone igły.

I znowu podpłynęły muskularnych łąk  
ramiona. Znowu upał skały w krew rozkruszał,  
Znów na kamieniach pluskał  
rzeki srebrny pstrąg,  
cały w chrzęszczących łuskach.  
Nieobeszła głusza  
kipiała znojem, potem, zielnym kłębowiskiem,  
gnojem, mrowiem  
podanym ku rozgrzanym kłęczom.

I trawy były łagodne i śliskie,  
ciepłe listowie  
w naszych włosach płącząc.

Na skałach miedzią dźwięczą echa kopyt,  
wiatr ściera dłonią beczenie baranów.  
Zejdźmy na płaski brzeg. Miedziane stopy,  
nagie jak rzeka, w żywej rtęci zanurz!  
Zanim się świerszcze przed nocą roztkliwią,  
podeprzyj biodrem zgrzebno-siny żywioł;  
a wychodząc, gdy pierś twa drobnym deszczem broczy,  
strzepnij liść, który przyłgnał  
jasno-rdzawą kroplą,  
i zanim ziemię zwilgła  
ramieniem otoczysz,  
węzeł warkoczy moim wargom rozplącz.

## BALLADA O GODIWIE

### I

Stara, w kronikach zapisana legenda anglosaska:  
— Naraziła się mężowi niewinna żona...  
Szalonego okrutnika nikt nie ugłaskał —  
ma pokazać się ludziom na koniu  
Godiwa obnażona.

Tylko jedna przyznana łaska:  
złote włosy ma prawo rozpuścić  
na piersi i na ramiona.

To się stało w Coventry, a Coventry już nie ma —  
inni szaleńcy zniszczyli kamienie,  
po których koń Godiwy stapał.

Cóż pozostało? Jeszcze jeden spóźniony poemat,  
gdy w legendę uwierzył odmieniec,  
a wiara w legendy nigdy nie jest skąpa.

Po tysiącu i więcej lat,  
jak wtedy, równie chętnie i chciwie,  
spoglądałem nad stawem rad  
ku innej chłopskiej Godiwie.

Że ożyła legenda, rychło-m zgadł,  
a ożyła, by żyć było sprawiedliwiej.

### II

Jak gdybym mnichem średniowiecznym był, opiszę,  
co się wtedy naprawdę zdarzyło.  
Zasłuchany w lat minionych martwą ciszę,  
wskrzeszam tamtą urodę i miłość.

Znów się niebo nade mną zakołysze —  
wiatr i słońce ku młodym żyłom.

Poeto, możesz zmyślać, ale nie łzyj!  
Za to flachę zacnej starki ci postawię.  
To się stało w pobliżu podlubelskich Beżyc,  
przy sitowiem zarośniętym stawie.

Minął wiek, wszystkie cuda przewyciężył,  
ale echa ich nadal błogosławię.

Znalazłem się w tym zagajniku mimochodem,  
nie, żeby, Boże broń, ją podpatrywać.  
Złota opalenizna piersi i bioder  
i do pasa rudych włosów grzywa.

Zsiadłe mleko zaprawione sytnym miodem —  
chłopska lady Godiwa.

### III

Wiatr na wodzie srebrne palce odciskał,  
niebo było prześwietlone i białe,  
bukłak słońca żywym żarem broczył.

Widać, konia prowadziła z pastwiska  
i zatrzymała się nad samotnym stawem,  
ani wiedząc że ją śledzą czyjeś oczy —

jakbym ujrzał mitologiczną zjawę,  
co z przedwiecznych wyszła uroczysk.

Gdy rozbierała się, wiatr zawiewał ciszej  
i słodziej,  
lustro nieba na kawałki się stłukło,  
wykrwawione zamarło południe...

Zgięcie biodra, kiedy w udo przechodzi,  
spływ ramienia i piersi wypukłość,  
uwolnione od stanika i spódnic.

Przyciąłem się wśród drzew, jak złodziej,  
jak konający z pragnienia  
u życiodajnej studni.

Czy to był kaprys że podeszła do konia?  
Lewą ręką uchwyciła za kantar  
— teraz wiatr omdlał i zamilkł —  
poderwała się — zsiadłe mleko, miód i jantar —  
uderzyła po bokach piętami.

Oczu moich bluźniercza odwago!  
Sosny chciały, choć nie mogły przyklęknąć...  
Więc to kara pokazać się nago?  
Za co kara? Za piękność?

Okrzyżła powoli staw,  
parskającego konia wparła w wodę  
— już do łydek, do kolan, do bioder —  
legenda, która ze snu wyszła na jaw,  
mitologiczne Coventry w lubelskich Beżycach...

Od koszmarów nocnych nas zbaw,  
legendami we snach zachwycaj!

#### IV

Na jawie wszystko ciemniej, a w legendzie jaśniej,  
więc nieważne, co i gdzie się zdarzyło.  
Mędrcy kłamią, prawdę mówią baśnie,  
w nich odżywa piękno i miłość.

Przyjdź Godiwa, wieko snu zatrzaśnij,  
wiatr i słońce pchnij ku moim żyłom.

Któryś wykrztusił ten poemat,  
nie wypieraj się go, nigdy nie łzyj!  
Coventry nie było i nie ma,  
nie ma i nie było tamtych Beżyc.

Ale ty trwasz, zapatrzona w swą urodę,

w dalszym ciągu pławisz konia w stawie.  
Zsiadłe mleko, zaprawione sytnym miodem,  
sprzed lat tylu mnie ku sobie przyzywasz...

Ze snu wyszłaś, a spełniasz się na jawie,  
wciąż ta sama, zawsze urodziwa.  
Tamtym wiatrem sny przedwieczne nawiej —  
siwy koń i rudych włosów grzywa...

Legendarne echo ułudy,  
kocham cię,  
chłopska lady Godiwa!

## DWIE POCHWAŁY HELENY FOURMENT

### I

Od skał skruszałych wołał dzwon ochrypły,  
i złoto dnia topniało w jego nutach.  
Pamiętną laską wbity w ziemię cyprys  
zwiastował przyjście nocy. Ale tutaj,  
gdzie znojna rzeka w biodrach się przegina,  
gdzie się bielizna obłoków na trzcinach  
suszy jak płatki róż na czułych rzęsach,  
nie było trwogi. Potok srebrnopienny  
huczał, i biegły brodate Syleny  
chwytać różowe kochanki Rubensa.

Tu białe ramię spiż dzwonu odsunie,  
i ciepły oddech twym wargom nie skłamię.  
Trzeba mu wiarę dać. We włosów rudej łunie,  
w gorących trawach, zdeptanych przez łanie,  
zgłuchniesz na głos alarmu, i czuła niepamięć  
przesłoni oczy. Ostry zapach mięty,  
szorstkość koniczyn, spocona pożoga  
i wyżeł śpi przy rozrzuconych nogach  
czeszącej włosy Heleny Fourment.

Gorące iskry kłują nam powieki,  
czerwone koła, cichy brzęk zausznic.  
Zielone dzbany przynoszą znad rzeki.  
Leją do kubków. Bądźmy im posłuszni!  
Wyżeł się zbudzi i pyskiem potrąci



kobietę, która włosy na karku upina.  
Wtedy wstaniemy, zmierzch na horyzoncie,  
zgaśł brzęk zausznic. Nadchodzi godzina.

Mrok ołowiany zawisa na rzęsach,  
każdy krzew nietoperzem burym się utorbił.  
Biegną różowe kochanki Rubensa,  
i suchy żużel rozsiewają z orbit.  
Rozwiązują się ścięgna, piersi w oczach butwieją,  
Syleny uciekają przed wzburzoną knieją,  
potok płomieniem smolistym się otruń;  
łaka wybucha siarką  
i krwią zlepiony warkocz  
spadł na piersi... A ta — już kościotrup!

Nietoperze skrzydłami biją nas po głowie,  
krtań zakrzuszyła się zimnym ołowiem,  
pokrzywy ognia tną po gołych nogach.  
Termity roją się w spękanych ustach,  
spiz rozpalony porywa i hušta.  
I nie ma nas ni ziemi. Jest tylko pożoga.

Rzednący popiół przesiewa powietrze,  
na miał kruszy się ołów, rzeka ognia gaśnie.  
Nim ręka świtu martwe oczy przetrze  
i przez kikuty drzew łakę przejaśni,  
flamandzki malarz oknem noc odpycha,  
nowe płótno rozpina na sztalugach...

Znów srebrnopienna zaszumiała struga,  
pies łapą skrobie we drzwi, koń za furtką prycha,  
liśćmi okrywa się wierzbowy pręt,  
znów dają się Sylenom porywać dziewczęta,  
i w dzbany ciurka ciężka czerwień wina.

Idzie do męża Helena Fourment,  
odgarnia popiół z powiek i — w biodrach przegięta —  
powolne piersi z stanika odpina.

## II

Popiół przepalił ciało. Giętki kościec

struchlał w bezwładzie. Żadna noc nie pierzchnie  
z wygniętych oczu. O, moje miłościu!  
Noce wezbrane od omdleń i westchnień!  
Mech jadowity piszczele oplata,  
lepki kołtun pajęczyn chciwe usta zatkał;  
już się łukiem pod grotem cięciwy nie napnę,  
nie zachwycą się mną suknie złote i szkarłatne,  
pereł gorących szyja nie nasnuje...

Przywalone, przezarte gliną i wapnem  
róże moje, narcyzy i leluje.

Żyłam, cała w przechyleniu bioder;  
w geście dłoni, w czułym biciu tęten.  
On mnie kochał jak się czerpie srebrną wodę,  
jak się zrywa kwiaty rozwinięte.  
Lub tratował mnie — lepką łakę — tętentem,  
żeby zioła podnosiły się jeszcze bujniej.  
I uległa mu byłam i powolna,  
srebrne źródło, zgrzana łaka, róża polna,  
powiązana z nim w jedyność i spójnię.

Winograzy ordzawił listopad  
i świecącym fosforem moje oczy.  
Z źródła czarna wysączyła się ropa,  
wąż się uląkł przy pieszczonych stopach,  
zgniłe serce trupim jadem broczy.

W jamie brzucha, co był miłowaniem twoim,  
śliskie robactwo się roi,  
piersi z róży dojrzałej i srebra  
zapadły się, wklęsły między zębra...  
Nie dotykaj mnie, bo rozpadnę się łachmanem,  
nie myśl o mnie, nie ruszaj,  
nie patrz, nie patrz!

Ciemny cmentarz pod niebem ołowianym,  
leci z wiatrem chmur podartych krepą.  
Zamknij oczy na umarłych nędzę!

Nowy dzień na grobach się kładzie,  
idzie człowiek przez pola Flandrii.  
niesie w dłoniach paletę i pędzel.

I pod pędzla dotknięciem czułym  
zawijają się ścięta i muskuły,  
jabłka kolan wzbierają prężnym sokiem;  
krąży krew pod skóry jędrną korą,  
a jabłonie i winna latorośl  
zaglądają do otwartych okien.

Wypełniły się zebra, brzuch na biodrach wsparł się,  
krągłą piersi, pachną mlekiem i potem;  
różowe udo spływa po atłasie,  
cieszą się na mą nagość suknie szkarłatne i złote,  
służebnica grzebień we włosach zanurza,  
otom jest:  
— srebrne źródło, zgrzana łąka, polna róża,  
czekająca, byś stratował mnie tętentem.

Płyną górą obłoki wniebowzięte,  
oczekują parobcy za przełazem,  
biegną panny przyjąć pierwszą zmacę,  
dojrzewają ludzkie silne dzieła.

Chmiel się burzy w dębowej kadzi  
i na niebie mitami wygwieźdzonej Flamiandii  
Mleczna Droga,  
co z jej piersi się poczęła.

## TRZY NATALIE

### I. NATASZA ROSTOWA

Nie wiadomo, czyś w ogóle istniała.  
czy też powstałaś w literackiej wyobraźni...  
Zanim w filmie zjawiłaś się — różano-biała —  
już widziałem cię coraz to wyraźniej,  
jakbyś z kartek zesłała cudem  
w rzeczywistość zmieniając ułudę...

I już w czulej pamięci zostałam,  
nikt i nic ciebie z niej nie wydrze!

Monotonnie spada piasek w klepsydrze,  
wiatr rozrzuca się w dzikich śnieżyc nucie...  
Moskwiczanka, śliczna hrabianka,  
rówieśniczka francuskiej rewolucji;  
cóż mogła wtedy wiedzieć? — że któregoś poranka,  
powracając z kolejnego balu,  
zrezygnuje z tańców i z uciech?

Kto czytał opowieść, pamięta:  
jak się ubierała na co dzień, jak od święta,  
jak wyglądała, gdy się w niej książę Bołkonskij zadurzył...  
Ja ją widzę dokładnie: sukienka mocno wycięta,  
obcisnięta na biodrach i w kibici...  
Pewnie poczuła dech wczesnej, wiosennej burzy,  
gdy ją w tańcu w ramiona uchwycił.

A już wojna. Mars pokazał bezlitosne lice,  
weszło Korsykaninowi słońce pod Austerlitzem,  
dwa czarne orły pokonał orzeł złoty...  
Nataszo, jakże żałosne są taneczne zaloty.  
teraz sercu zawiedzionemu będzie lepiej i ciszej,  
spokój zejdzie ku kędziorom trefionym.

Kiedyś to wszystko sprawne pióro opisze:  
krwawe bitwy, rozbawione salony,  
zgliszczą domów po moskiewskim pożarze...

Cóż zostało z minionych marzeń,  
gdyś pielęgnowała konającego księcia?  
Łuna wojenna w oczach przerażonego dziewczęcia,  
kikuty rannych, uchodzących z pola bitwy...  
A tu świeca gromniczna i modlitwy,  
odszedł na zawsze zdradzony narzeczony...

Ale jeszcze twój dzień nie skończony;  
gdy ucichną pożegnalne dzwony,  
spotkasz człowieka i zatrząsniesz  
pamięć minionych wydarzeń na głucho.  
To on ci był przeznaczony, on właśnie —  
śmieszny i dobrotliwy Pierre Bezuchow.

Na tym epicka opowieść się urywa,  
byłaś zadowolona i szczęśliwa,

ale ja wiem — już wkrótce na Senackim Placu,  
w ogniu armat nadzieje się zatracą,  
wnet wyrośnie pięć czarnych szubienic —  
i gdy tamtych pięciu publicznie tracą,  
los twój także nagle się odmieni.

Tak jak inne, stworzone do miłości i tańca,  
pójdiesz śladem dzwoniącego kajdanami skazańca —  
to już nie białe noce petersburskie,  
nie gwiazdzista noc ukraińska,  
to mroki ledwie rozjaśnione mdłą latarnią,  
czy w dniu, czy w nocy jednakowo czarno  
pod stropami kopalń Nerczyńska...

Niechże i ja po tylu latach przyłożę się swym słowem  
ku męczeńskim stopom  
Nataszy Rostowej.

## II. NATALIA GONCZAROWA

Rok za rokiem powoli upływał,  
zanim wichrem ją porwał za sobą;  
czy mogła się domyślać — taka młoda, taka urodziwa —  
że jej mąż jest pierwszą w Rosji osobą?

Nie dlatego, że miał mundur i szpadę —  
o to nie dbają uskrzydłone słowa.  
Zamieszany w dworaków gromadę  
nie mógł pysznej *Natalie* zaimponować.

Bo miała na ślicznych oczach bielmo,  
bo nie wiedziała, że to on unosi ją w nieśmiertelność,  
a nie dusery przybłądy d'Anthesa...  
Lecz on ciągle się łudził, że to nie dworski taniec,  
a ważniejsze jest dla niej *aczej aczarowanie*,  
choć już go burza na śnieżnych unosiła biesach.

Wystarczy, by ktoś ją poznał ze starych rycin,  
by się tą urodą zachwycić,  
oznajmijając ramion i bioder szczodrość  
i uda, podpływające radośnie ku biodrom,  
by znaleźć czułe ujście w kibici.

W źrenicach było światliście i modro,  
a on widział w nich nie śmierć, lecz życie.

Poeci, jakże często się mylicie!

Natalio, to nie żadne oskarżenie!  
Gdybyś go pokochała, byłabyś jego cieniem,  
każdy jego wiersz przyjmowałaśby z zachwytem,  
miałabyś z jego słów utkane szaty złotolite,  
byłabyś niczym Erato i Kaliope...  
I uznano by twą drobną stopę  
za miarę i średniówkę rosyjskich jambów...

Ale i tak jesteś godna dytyrambu  
za to, żeś go według jego własnych słów  
oczarowała i *oganczarowała*...  
I byłabyś dla niego, jak srebrny, księżycowy nów,  
świecący od wieczora do rana.

Więc pochylam się znów  
i rzucam kwiaty strof na twoje martwe kolana.

Wiem, żeś swoje przedwczesne wdowieństwo  
gorzko przeżyła —  
że wyrzuty sumienia, odczuwane jakże często,  
skorpionami załęgły ci się w żyłach  
i gdy już było za późno,  
własnej urodzie bluźniąc,  
poznałaś, czym pośmiertna miłość.

Tobie, przeżarta pleśnią, przywalona śniegiem,  
zamiast pozdrowić czułą pieśnią,  
składałam tę nieudolną elegię.

### III. NATALIA GAŁCZYŃSKA

Głos z ciemnego, weneckiego szkła,  
krew — wino kachetyńskie, pieniące się w żyłach,  
w oczach górskiego barsa przyczajone blaski,  
a gdy szła,  
z rąk przechodniów niemal zrywały się oklaski,  
bo każdym swoim ruchem dowodziła,  
że zna sekret urody kaukaskiej.

A ów sekret jest taki:  
gdy kobieta legnie, wsparta na biodrze,  
kot ma przebiec bez trudu pod kibicią —  
na ten widok radośniej nucą rajskie ptaki,  
słońce przyświeca jeszcze szcudrzej,  
złotem sypiąc ku Natalii licom...

Że kobietą była, chyba stało się niedobrze,  
lepiej lwicą,  
lub hyrkańską tygrysią.

A pamiętasz,  
jak przed wojną bywało w Aninie?

Topole srebrnolistne, gwiazdy złotowłose,  
wiatr od Wisły — wiekuista udreka —  
a on zapowiadał, że nawet, gdy w śmierci przeminie,  
powróci:

„I przez tę lubelską szosę  
znów cię poniesie na rękach!”

Więc i ten wiersz, wypowiedziany zachwyconym głosem  
niech przed tobą również przyklęka!

Wszystko, co Konstanty Ildefons ukochał,  
chciał ocalić od zapomnienia.

Mroczna nasza epoka — zła macocha,  
wszystko niszczy, wszystko odmienia.

Niebo stoi w gwiazdzistych szlochach,  
jakże śpiewać, jeśli usta mam z krzemienia?!

Natalio, już znikłaś w nocy wiekuistej cieniach!

Od zapomnienia ja także chcę ocalić  
twoje srebrne biodra — morskiego przypływu fale,  
piersi — dwa śniade księżycy w pełni...  
Oczy pod kruczych włosów burzą,  
brwi — napięte łuki, co grotom błyskawicy służą,  
nim uśmiech tęczę niebo uzupełni.

Iżby ten wiersz nadaremnie nie zamarł,  
powiem, żeś powinna nazywać się Thamar,  
a urodę twą nowy Szota Rustaweli miał uwiecznić,  
tobie należałby się nowoczesny „Wepchis Tkaosani”,  
nie powinnaś była oddawać się taniej,  
zaświadczam —  
tych spraw bezstronny rzecznik.

Natalio,  
jakże piękniejsza od Maryli i Ludwiki,  
wdzięczniejsza od pani Kalergis,  
Muzo, nie dość za życia wyśpiewana,  
niech twój doczesny pobyt na polskiej ziemi będzie  
[pochwalon,  
ciebie głoszę tym żalosnym krzykiem,  
gdy dobrnęłaś do ostatniej oberży —  
tobie ten wiersz...!

Natalio!  
Napisałem go, stojąc na kolanach.



## II

### JESIENNA BAJKA

Listopad się pyszni złotolistem,  
każde drzewo, jak Cyganka z swoim dźwięcznym monistem,  
a niektóre się chwala purpurą i karmazynem...  
Kto tak jesień ubrał w złoto i srebro,  
że przez nią trudno mi przebrnąć,  
by od razu skoczyć w niebo stalowo-sine?!

Park wydaje się gotycką katedrą,  
przez jej stropy łącniej w dal odpłyne.

Stoi z głowami zadartymi gawieź,  
słyszy: żałobnie krzyczą żurawie,  
przymglone słońce ledwie odbija się w ros rześzystych kroplach —  
ale dlaczego za kluczem odlatującym  
gorzkim płaczem o obłoki potrąca  
i także odlatuje ostatnia z pogańskich Goplan?

Aż do wiosny, póki jeziora będą od zimna zdrewniały.  
nie uświadczymy zielonowłosych rusałek  
i przestaną się obracać młyńskie koła na rzekach.  
Tylko skrzaty pochowane po kątach  
będą się od wieczora aż do brzasku krzątać  
i skrzypienie świerszczy przez całą noc przewlekać.

Wiedzieli ludzie:

ksiądz pleban czary zadziesiątał,  
ale jak upilnować grzesznego człowieka?!

Wystarczy, by na przedwiośniu Światowid skinął —  
natychmiast rusałki z dna jezior wychyną,  
uderzy w koła młynów fala rozkolebana;  
czerwony księżyc zakolysze się na świerkach,  
strząchną sen z swoich powiek i Chochlik i Skierka,  
i — kto wie — może wróci z wygnania Goplana...

Wtedy drzewa zatańczą wściekłego oberka,  
a my będziemy jej powrót święcić na kolanach.

## PEJZAŻ MITOLOGICZNY

Grunt był spękany, bo od dawna nań woda nie spadła,  
szczeliny-rany od grotów słońca, silnych, a prostych;  
drzewa, pyłem okryte, jak widziadła,  
pod upałem słaniające się osty.

Nie ma tu wina, nie ma jadała,  
ten kraj to trup, co już ostygł.

Ale oto, gdyś o nadziei prawił  
że jej nie masz,  
poprzedzony ogniami błyskawic,  
nadleciał rozwścieczony Boreasz  
i na martwe pola, które już wlekli do kostnicy,  
spadają deszczem niebiańscy gwałtownicy —  
widzisz, ziemio, jak się w oczach przemieniasz!

Już cię byli skazali, już cię na stratę przeznaczono,  
aleś oto otworzyła spragnione łono,  
bo na niebie swój gwiazdozbiór zapalił Wodnik —  
więc wciągasz wiatr w mdlejące płuca,  
rozkładasz się i rozrzucasz  
i do wichru wołasz:

— Zapłodnij!

Panny, dotąd niemrawe, skaczą ku pułapom,  
owce, prawie zdychające, biegną, mecząc, ku capom,  
ogier słońca zarżał i stanął dęba.

Miód gorący spływa po drzewach  
i kraj cały bezsilnie omdlewa,  
a bogowie się gżą w nieboszębach.

Stara Ceres w strumieniu chłodzi nagą stopę,  
zaraz nurt zadymił ukropem,  
boska stopa płomieniem się zajęła.  
Czmychają Nimfy i Dziwożony,  
lecz nie umkną Sylenom rozjuszonym —  
wnet się poczną z nich starożytne dzieła.

Artemis Akteona psami już nie szczuje,  
pozwala się do woli podpatrywać;  
Dafne przed Apollinem nie ucieka, choć wie, co knuje,  
zamiast liściem obrastać, jest mu życzliwa.

Wiatr wyśpiewuje pogańskie Alleluje  
i dzieją się coraz większe dziwa.

Z Hektorem pod ramię — już przyjaźni! — idzie Patrokles.  
Dryjady na Centaurach nadjeżdżają,  
siedząc na oklep,  
ku laurowym gajom,  
gdzie rozwalił się Bachus upity...

Usta mu i ramiona podstawiają,  
a on rży, zawsze spragniony i nie syty.

Mitologiczna przemija noc.  
Centuary znów cwałują jurną zgrają,  
gasną gwiazdy i nadchodzą srebrne świty.

## PEJZAŻ STAROSŁOWIAŃSKI

Po orawach, po pagórach,  
przez rozlewy rzeczne i jeziorne głębie  
idzie, zataczając się, stary Waligóra,  
pod ramię z pijanym Wyrwidębem.

Biegła przed nimi lisica złoto-bura  
i ciekawe polatywały gołębie.  
Marchość wyszedł przed próg,  
oczy ręką przesłonił...  
Patrzy — przyjaciel, czy wróg —  
aż radośnie zawrzasnął: — To oni!

Poszedł po izbach hyr i huk,  
nawet Domowy Dziad z pieca się zwłókł,  
choć mu znachor pić gorzałkę zabronił.

Zahałasowały na stołach misy i dzbany —  
który dzban drewniany, który polewany...  
Jak byś nie zasiadł, gospodarz by sklął cię.  
Więc zasiedli, śpiewają: — Dylu, dylu...  
jeden na skrzypeczkach, drugi na badylu,  
wszyscy wrzeszczą:

— Bądź nam zdrów, Marchoście!

Poszli o świtanu chłodzić się do zdroja,  
rzekł Wyrwidąb:

— Jeśli dziewczkę zdybię, będzie moja.

Rusałkę zobaczył, uśpioną w sitowiach,  
za zielony warkocz uchwycił, gwałtem ją wlecze,  
ta się broni, a on do niej: — Przecież  
mnie i tobie na radość i dla zdrowia.

Aż do południa ochotnie się tarzali,  
roznietli dojrzałe jagody malin,  
nic im że od boru biegnie płacz dziwożon.  
Potem niósł ją do zagrody,  
na weselne piwa i miody,  
by w te gody ich godnie uraczono.

Wołał Marchość:

— To przykład dla wszystkich młodych  
niechże biegną ku chciwym ramionom!

Więc swadziebnicy  
uczili ich tańcem i krzykiem,  
nie szczczędząc kołaczy, ani wieńca;  
jeden kołacz dla oblubienicy,  
a drugi — dla oblubieńca.

W sadzie złociste słoneczniki,  
by w dniu takim nie okryć się wstydem,  
tak zaczęły się ku tańczącym wykręcać  
że każdy się zdał Światowidem...

Przez krajobraz ten jużem kiedyś szedł i nadal idę!

## JESIENNY ODLÓT

Złociło się i rdzawiło listowie...

Lato już się przesila, a jeszcze nie jesień.  
Bogowie prasłowiańscy biegali po dąbrowie,  
podglądali, co im ta pora przyniesie...  
Zanim wiatr północny ciężkie płody wyziębi,  
może będą zausznice czerwonych jarzębin,  
może gruszki i jabłka złote?

Rusałki, że w jeziorze i na rzekach zziębnięte,  
wychodziły na ląd, każda w ustach miała miód i miętę,  
chciały rozgrzać się, nie myśląc, co potem...

A bogowie jurni nieśli się tętentem,  
wypełniali dąbrowę łoskotem.

Młodzi mieli usta nabrzmiąte,  
silne dłonie i stęsknione uda.  
Więc dopieroż krzyk i lament wśród rusalek —  
nie słyszały o wielkoludach,  
nie wiedziały, że gdy który na dziewczynę spadnie,  
nie wykręcić się z jego objęć żadnej...  
Żałują poniewczasie,  
że pobiegły prasłowiańskim lasem —  
lepiej było u Goplany na dnie.

Lepiej? Tak im się wydawało na samym początku,  
wnet się przyzwyczały do Bożyców i Świątków,  
ani im w głowie było się odzwyczajać...

A nad jeziorem stała czerwona łuna,

księżyc kładł na nich dłonie, jak na srebrnych strunach —  
melodia pełna zachwytu na rozłogach i gajach.

Czuły się tak, jakby miały począć od pioruna,  
a że była jesień,  
rachowały, że dopiero w końcu przyszłego maja.

Widzisz, nieogłędna Goplano:  
— pijany parobek nad jeziorem przystanął —  
pocóżes wychynęła nad sitowia i leśne pnącze?  
Tobie tylko się objawiać i zaraz znikać,  
aleś pokochała głupiego śmiertelnika —  
teraz losy ludzkie beznadziejnie spląszesz.

Opadłym liściom już tylko na ziemi rdzawieć,  
kryje się przed chłodem polna i leśna gawiedź  
mgły coraz gęstsze się przędą  
i unoszą z sobą boginkę nieogłędną  
odlatujące na wyraj żurawie.

Zegnają Gopło żałosnym klangorem,  
odlatują skazane na północ  
i szybuje nad zaczarowanym borem,  
nad osieroconym jeziorem  
samotnego księżycza srebrne czółno.

## NOC ŚWIĘTOJAŃSKA

Że im zanadto ciężyły jabłka dojrzałe,  
„Już czas na was!” — dogadywały we wsi stare cioty.  
Czekały, wybierały się na Kupałę,  
gdy księżyc staje się czerwony i złoty,  
a nad wodami rozlega się śpiew rusafek.  
Sobótce świętojańskiej na chwałę,  
by chłopakom i pannom nie zabrakło ochoty.

Trzeba w samo serce puszczy, albo nad mokradło —  
takiej nocy czarodziejska paproć  
tam zakwita najczęściej...  
Żem nie lękliwy, także iść mi

pilnie szukać wśród wilgotnych liści —  
może znaję ukryte szczęście...

Księżyc — stręczyciel stary — nie omieszkał  
srebrnej przędzy nasnuć na polanach i ścieżkach,  
lubi straszyć dziewczęta zabłąkane...  
Nigdy mu takiego widowiska nie dosyć,  
gdy biegnącą po porannej rosie,  
gdy pachnącą tymiankiem i sianem...

Próżno będzie wykręcać się i prosić,  
próżno chłopca odpychać kolanem.

Gwiazdy, gasnąc, coraz wyżej pną się,  
ciężko dyszą panny rozchełstane.

Nie znalazły kwiatu paproci,  
to dlatego że księżyc podstępny naknocił,  
bo je na manowce wyprowadził —  
nie uchroniła się tej nocy żadna;  
gdy powracały, ziąbem wiało od mokradła,  
już wiedziały, kto je przywiódł ku zdradzie,

Noc Kupały was, kraszanki, okradła —  
nie lepiej byłoby za dnia, w słonecznym sadzie?!

Ale synowie, tej nocy poczęci, będą dumnie kroczyć,  
a córki będą miały rusałczane oczy,  
czyli szaro-zielone i przepastne —  
więc nie trwóźcie się, panny, niech się stawa  
świętojańska zabawa,  
gdy będziecie oddawać  
swą urodę temu świętu na pastwę.

Wiedziałem od dawna: gdy księżyc zaczyna srebrnieć,  
żadna przez las świętojański bezpiecznie nie przebrnie,  
musi złożyć okup, w życiu jedyny...  
Kiedym zmądrzał, Kupale przyglądałem się z dala;  
anim ja, ani nikt kwiatu paproci nie znalazł —  
kwiat ten rośnie, ale w stronach całkiem innych.

Miła dziewczyno, jeśli chcesz być szczęśliwą,  
nie licz na żadne świętojańskie dziwo,  
poszukaj szczęścia w śmiertelnym człowieku.  
Marzeniami się we śnie nie zachwycaj,  
pomyśl: trzeba tylko światło księżycza  
na ślubną obrączkę przekuć.

I niech ten zwyczaj trwa na wieki wieków.

## POPOŁUDNIE

Bursztynowa żywica napływa,  
jabłka pęcznieją na drzewach.

Ziemia jabłkiem okrągłym dojrzewa  
pod obłoków i wiatrów przeciągiem,  
ziemia stęka jak łania niecierpliwa.  
Przechyliła się złocista stągiew,  
leje wino ku pagórom i dolinom,  
winne pola rozlały się i płyną  
i pod drzewem, całym w liściach i ptakach,  
ze zgrzanego skórzanego bukłaka  
spienione wino.

Nad zielenią rozjuszonych płatawisk,  
nad spiekotą gołoborów i oraw  
otworzyła się złota rana i krwawi.  
Nóż jarzący powietrze przeorał,  
ropą spływa popękana kora,  
a na oczy się sypią pióra  
z potarganych ogonów pawich.

Ku ramionom, ku ustom, ku oczom  
winne jabłka złotym gradem się toczą.  
Łąka puchnie znojną furią kretowisk,  
w zgrzanej jusze jarzy się i mrowi,  
zakrwawiona srebrnym cięciem lemieszka,  
przyduszona rozżarzoną pożogą —  
poszarpany na strzepy pawi ogon  
ziemię z niebem złączył i przemieszał.



Ciężko dyszy zziajany buhaj,  
zataczają się drzewa osłabłe.  
Skały w ogniu, łąka w wybuchach,  
gradobicie złotowinnych jabłek;  
zioła dławią się wezbraną śliną,  
gaj oliwny w ukropie się rozplynął,  
każdy cień w pawie ogon się zmienia.

A z bukłaka gorącego wymienia  
spienione wino.

### WIERSZ BUKOLICZNY

Po liściu pełźnie pręgowana liszka,  
i ślimak żdźbło wysmuklił lepką śliną.  
Strumień na chwilę spośród ziół wypłynął  
i zaraz zniknął. W ciemnych tamaryszkach  
sarna stanęła — czmychnie w stare uroczyszcze,  
i stukot pójdzie, łaskot, trzask... A gałąź,  
trącona, w słońcu liściem  
drży coraz to słabiej.  
Jakbyś dukatów rzucił garścią całą:  
sypnęły się złociście  
i zagały w trawie.

Szept i brodenie w drzemiących wiklinach,  
zdrój niewidzialny na kamieniach ciurka.  
Promień w gęstwinie czerwoną wiewiórką  
skoczył na pień omszały. Kitę zgina  
i pierzcha. Dziewka wyszła. W ręku świeci cebrzyk.  
Stopą próbuje wody. Zaraz ją wysrebrzy  
nagością bioder i ud. A faun brodaty  
rozgarnie trzciny, porwie ją, obali  
na zgrzane trawy. Pozostaną kwiaty  
zmięte i krwawa miazga dzikich malin.

Krok dalej potok z gęstwy się wynurzył  
i siną przędę w sprawnych rękach mota.  
Strzaskane drzewo — pogrobowiec burzy —  
przegradza drogę. Na mrocznych wykrotach

bujna dziedzina urocznych paproci.  
I chodzi lasem połysk ślepiów kocich  
i złe postękiwanie syrojadów.  
Kwiki, rżężenie... Lecz nie szukaj śladu.  
Tu ci przychylniej trawa rozchełstana  
świerszcze na znojną melodię naniże,  
i wiatr — zziajany, rozbiegany wyżej —  
wróci, łeb suchy kładąc na kolanach.

Smuży się puszcza szmaragdowo-modra,  
wśród głązów strużki wibrującej rtęci.  
Do pnia przytulił się dziki winograd,  
przegub gałęzi różańcem okręcił.  
Coś błysło znowu.

Niewidzialnym trzaskiem  
skanduje jeleń rytm ostrożnych kroków...

I słońcem napęczniały, migotliwy jaskier  
stoi w otoczu dmuchawców-obłoków.

## GALICKIE CZAROWNICE

Na galickich rzek przymglonych brzegach  
czarownice nazywają się *meigas*,  
iż to kraj wilkołaków i czarownic...  
Wilkołacy biegną ku wilczurom,  
a co do czarownic... poniektórą  
wziąłbym chętnie, by odmłodzić się ponownie.  
Księżyc wróży, przykryty chmurą,  
i gwiazdy, jak płomieniem zdjęte głownie.

Jeśli księżyc o północy ujrzysz wśród chojarów,  
nie wyzwolisz się spod jego czaru,  
bo jest czarownic poplecznikiem —  
która matka czuwa nad kołyską,  
nie powinna księżycy w pełni podpuszczać za blisko,  
bo dziecko jej urośnie nawiedzone i dzikie.

A jeśli ponadto świętojańskie zapłonie ognisko  
i bór odezwie się złowróżbnym krzykiem...

Nigdy w życiu czarownic się nie bałem,  
ani zielonowłosych rusałek,  
za pan-brat byłem zawsze z księżycem.  
Przed czarami drzwi na oścież otworzę,  
niech mi zorza zakłęta rozgorze —  
wnet to wszystko w rytm mych słów uchwycę,

Na widok czarów i wróżb się nie trwożę,  
bo niegdyś rozkochałem piękną czarownicę.

### III

#### WENUS PRZED ZWIERCIADŁEM

Pani Wenus na pół legła, na pół usiadła,  
by malarzowi zwanemu Velazquezem  
pozować naprzeciw zwierciadła.

Amorka pulchne rączęta  
podtrzymywały lustro,  
w którym ledwie odbiło się ramię  
i niewiele więcej.

Pani Wenus była uśmiechnięta,  
wiedziała że wszyscy pragnęli,  
żeby się odwróciła  
i pokazała jaką jest:  
piersi z różu i bieli  
i dłoni wstydlivej  
osłaniający gest.

Nie chciała.

Ale plecy jej pozostały  
i tak już trwają od stuleci,  
od ramion przechodzą ku biodrom,  
biodra ku udom  
zapóźnionym kochankom naprzeciw,  
pod tym światłem co złociście i modro...

Ktoś kto chce w cudu uwierzyć  
rzekłby że cud, że cudo!

A ja wiem, a ja znam  
inne plecy które również swą urodę  
przedłużają ku wypukłym stropom bioder,  
a z nich uda wyrastają smukłe.

Przypatrzyłem się i tą samą dłonią,  
której biodra przed dotknięciem się bronią  
lustro pani Wenus potłukłem.

W ciężką ramę plecy wmalowane  
a tu żywe, ciepłe  
i w urodzie takie same.

Oto ciało od barków aż do ud,  
wszystko świadczy życiu  
że jest piękne.

W zachwyceniu przed obrazem uklękne,  
abym bliżej wzrokiem się wiódł  
ku oddanym w zupełność tajemnicom...

Oto z łodyg dwóch wyrasta ciemna róża,  
słońce w złotym ciele się zanurza,  
nim go dłonie smagłej nocy pochwyca.

Plecy, nie uciekajcie ode mnie,  
które spływacie ku biodrom i udom  
najrytmiczniej i najuczeniej —

Przy was jasno, a gdy będzie ciemniej,  
znów świetlistą objawicie się złudą:  
w zachwyceniu ginie cierpienie.

Zatrzymałem się przed lustrem jak przed dziwem,  
cuda w płótno i farby zakrzepłe.

Ale plecy twe są równie urodziwe  
a ponadto żywe i ciepłe.

Pani Wenus, pozostań przed lustrem,  
nie odwracaj się ku nam —  
i tak już wiemy wszystko.

Twe ramiona i uda są puste,  
a ja chcę się zająć od pioruna,  
wejść w spełnienia złociste ognisko.

I od śmiertelnych pleców  
bije łuna  
i nieśmiertelny Olimp  
znów jest blisko.

## MITOLOGIA

Lato już od siwego upału omdlało,  
rozpływają się góry na horyzoncie  
i jaszczurka wybiegła przed domu przyciesie.  
Najsoczystszych owoców ociążałość —  
nim ostatnie z nich przymrozek strąci,  
chodźmy razem uprzędzić jesień.

Zawiewają wiatry coraz miodosytnej,  
nad głowami obłoków dziwność  
i bezsenność łączy zmierzchy i świty.  
Gdy się tak dawniej zdarzało  
radzili starożytni:  
— Zapal lampkę wotywną  
na ołtarzu Cypryjskiej Afrodyty...

## WSPOMNIENIE Z JURATY

Piasek na plaży wciągał w siebie srebro księżyca,  
sosny chwiały się pod wiatru szorstkim podmuchem.  
Świat doczesny tą nocą się zachwycał,  
marzyła uśpiona Jurata.

Potem przyszły dni nieszczęśliwe i głuche,  
mijały lata.

Ale wtedy wiatr mnie uderzył, jakby obuchem,  
A dobroczynny księżyc nas wyswatał.

Uciekliśmy z dansingu od wycia saksofonu,  
od gęstego powietrza i stęzalego potu.

Myślałaś: — Tak będzie aż do zgonu!

Wierzyłaś:

— Do wczorajszego dnia nie ma już powrotu!

Nadzy, zanurzaliśmy się powoli w Bałtyku.

Fale, jak psy pokorne, szły ku twoim nogom,  
nieco głębiej ku biodrom

i ramionom,

aż twoje ciało, które jakiś bóg w natchnieniu wykuł,  
obdarzyło mnie swoją łaską szczodłą  
i wstąpiliśmy razem w nieskończoność.

I wiatr zachłystywał się od podwójnego krzyku  
i księżyc raz na zawsze w ogniu spłonął.

To się działo w takim samym rytmie,  
w jakim morski objawia się przypływ.

A sosny w północnej modlitwie  
pozdrawiały nas głosem ochrypłym.

Były bardziej o ciebie zazdrosne,  
niż zgorzone;

wiatr uderzał całą siłą w każdą sosnę  
i chwiał każdą, jak dźwięcznym dzwonem.

Czułem że aż pod gwiazdy rosne,  
a tyś oczy miała zielone.

Powiedziałaś następnego dnia:

— To nie myśmy zgrzeszyli, to księżyc i wiatr  
i fale, co nas poniosły swym przypływem.

Tyżeś na mnie nagłym żywiołem spadł,  
lecz twe usta były sprawiedliwe.

Chociaż odtąd minęło ponad czterdzieści lat,  
tamte fale i sosny wciąż są żywe.

## TYTANIA I OSIOŁ

Pamiętasz wszechwładnego Oberona  
i jego żonę, prześliczną Tytanię?  
Sen nocy letniej wziął ich w swe ramiona,  
ukołysał w melodię i taniec.

Myślałem głupio żeś swego dokonał  
że to już wiekuiste miłowanie.

Ale noc letnia, zanim nadejdzie ranek,  
roi się od czarodziejskich niespodzianek,  
w kniei przeraża księżycą żrenica kocia.  
Spiskują psotne szatanki i duchy złośliwe,  
każdą różę zamieniają w pokrzywę,  
pajęczyny snują na paprociach.

Nie zdarzyło się ni na chwilę, ani-ani,  
taki los wywróżyć żadnej z cyganich,  
kiedy karty przekładały na lewo;  
przepowiadały szczęście i miłość,  
a żadnej z nich się nawet nie przyśniło  
że łódź płynie ku żałobnym powiewom.

Kiedym usiadł przy ciężkim wiośle,  
uśmiechała się śliczna Tytania.

Zdawało się — podróż przejdzie górnie i wyniośle —  
nie będziesz się drożyć, ani wzbraniać.

A tyś, jak Tytania,  
zakochała się pod koniec w osła.

1958



## W POSZUKIWANIU METAFOR

Jakże mam cię uwięzić w klatce metafor,  
z jakiej burzy poczętym otoczyć cię słowem?  
Cóż wymyślić — że twe biodra to szafot,  
na którym lekkomyślnie mam utracić głowę?

Poeci już obrabowali cały świat z barw i melodii,  
trudno wysłowić się od nich urodziwiej,  
lecz pragnąłbym ten madrygał tak odmłodzić,  
abyś się dała choć na chwilę zadziwić.

Abys się dała mym wierszom zaskoczyć,  
aby łagodniej spoczęły na mnie  
twe prześwietlone oczy.

Jesteś morzem rozgrzanym, w którym chciałbym  
zanurzyć czułe wiosła;  
jesteś rzeką, od której chciałbym,  
by mnie na wyspę kwiecistą zaniosła;

jesteś chmurą, którą prosiłbym,  
aby mnie przemoczyła nie do nitki, do samych kości:  
jesteś łanią, za którą — strzelec niecelny —  
w beznadziejny udaję się pościg.

Jesteś morzem, rzeką i chmurą,  
jesteś łanią, tętnią za tobą kozły rozhukane...  
Jesteś niepokorną źrebicą, którą  
mam pochwyć i spętać arkanem.

Ale, gdy się nie gniewasz i patrzysz uśmiechnięta,  
jesteś jak bandaż na otwartą ranę.

Samą siebie każdym ruchem opływasz —  
śródziemnomorska fala.  
W oczach twych mitologiczne dziwa,  
a gdy się ode mnie oddalasz,  
skaczę głową w dół, nieszczęśliwy pływak,  
abym się gorzką wodą na śmierć zalał...

Więc dlaczego, więdźmo urodziwa,  
patrzeć na siebie pozwalasz?!

Gdy się przeciągasz, jesteś, jak libijska lwica;  
gdy złość cię chwyta — to pochodnia gorejąca;  
gdy zrywasz kwiaty,  
każdy, konając, tobą się zachwyca;  
gdy marszczysz brwi, słońca w przepaść strącasz.

Światłem twych spojrzeń syci się nocna okolica —  
bywasz wtedy młodszą siostrą miesiąca.

Jesteś jak dwa sprzeczne wiatry: grzejesz i ziębisz  
piersi twoje —  
wyzwanie dla najwdzięczniejszych gołębic.  
Biodra — kusza, z niej śmiertelne groty...  
Ramię — smyczek na srebrnych strunach,  
gdy powieki podnosisz, w niebo bije łuna,  
każde słowo — rozżarzony do białości erotyk.

I bardziej palący od pioruna  
rąk twych — choć to dwie lilie bezbronne —  
każdy dotyk.

Poddaję się — nie ma godnych twej urody metafor,  
przeto wiążcie mnie  
i prowadźcie na szafot!

1941 - 1977

## ZIELONE OCZY

Mówiłem: — Zielone oczy to czarownic przywilej!  
Śmiała się: — Jakże chciałabym stać się czarownicą!  
Powiedz: — Skazałbyś mnie na śmierć na stosie?  
Obrażała się często, ale za chwilę  
znów zbliżała do mnie smagłe lico  
i wołała: — Zgadnij!  
Siedem żeber mam, czy też osiem?!

Nie od razu żem rachunku dokonał...  
czy odwagi mi nie starczało

— bo zielonooka dziwożona —  
czy zawiniła mych słów niedoskonałość...?

Tyle że otwierała mi chętnie swe ramiona,  
ale tego było o wiele za mało!

Jakież były jej oczy naprawdę?

W cieniu brązowe,  
w mżącym świetle błękitnawo-siwe,  
w pełnym słońcu — złociste...  
Kiedy brałem w dłonie jej głowę,  
zamykała powieki: — Moje oczy są nieprawdziwe!  
Nigdy się nie dowiesz, jakiej są barwy,  
jeśli przedtem ust mych nie natrze lubystek!

I dopiero, gdym zdobył czarodziejskie ziele  
i uwarzył  
na ogniu, który płonie u Wenus ołtarzy,  
pozwalała mi poczynać coraz śmielej,  
ażem oczy jej zdobyć się odważył.

Serce się tłukło alarmowym dzwonem,  
wiatr na mych ustach zastygł,  
rozpalonymi igłami kłuło w żyłach,  
włosy zajęły się płomieniem,  
więc w przerażeniu zawołałem: — Gore!

Wtedy oczy zielone  
szeroko otworzyła —

nareszcie umowny sygnał  
że droga stanęła otworem.

P.S.

Powędrowałem za zielonym światłem,  
już ufny że na drugą stronę przejdę  
i policzyłem,  
to już było teraz całkiem łatwe...

Żeber po każdej stronie miała siedem!

1932 - 1973

## OPOWIADAM BOKACJUSZA

Powiedzieli rodzicom że na balkonie  
będą słuchać śpiewu słowika.

Najpierw czule splatają się dłonie.  
później policzek policzka dotyka;  
to dopiero początek, nie koniec,  
a słowik, zanim słońce zgaśnie na nieboskłonie,  
bezpowrotnie zapłacze się we wnykach.

Noc Toskanii gwiezdna i modra,  
wonią kwiatów bez ratunku spita...  
W taką noc na muzyczniejących biodrach  
złota róża bujniej rozkwita;  
pani Wenus jest bardziej szczodra,  
dźwięczniej biją Satyrów kopyta,  
tajemnica oczywistością się stawia  
i upewnia się w swych nieśmiertelnych prawach  
miłosna Rzeczpospolita.

Aż szepnęła dziewczyna łaskawa  
do słowika:  
— Miły ptaszku, witaj!

W ogrodzie rozszalała kapela  
srebrem dzwoni w kwietnej katedrze...  
Ptak rozrzuca się w kantatach i trelach,  
zanim płatki złotej róży rozedrze;  
śpią rodzice tej nocy wiosennego wesela,  
aż młodzi, już zespoleni,  
nie widzą znikających cieni,  
gdy świt wczesny cyprysy wybiela.

Lecz zbudzili się starzy i przyszli. Ptaków,  
że znużyły się, nie było słychać więcej.  
I zastali uspioną córkę przy chłopaku,  
ze słowikiem w panińskiej ręce.  
A słońce już wschodziło,  
ozłaczając spełnioną miłość,  
więc stawało się im jaśniej i goręcej.

Było teraz coraz więcej kwiecia,  
powracały gołębie z miłosnej podróży;  
trzepotały się ryby w sieciach,  
ciepły wiatr włosy drzewom burzył...

A słowik? Słowik już nigdy nie odleciał,  
nie odrywa się od płatków złotej róży.

P.S. Jeżeli poznać pragniesz słowika zwyczajnie,  
pozwól,  
byśmy taką samą noc spędzili wzajem.

1936 - 1977

## EROTYK ŻEGLARSKI

Pochyliła się noc ku ramionom,  
pochyliła się ku piersi pełnym dzbanom.  
To nie gwiazdy, to twe oczy płoną,  
już jesteśmy sami,  
już o nas na tej ziemi zapomniano.

Czas zatrzymał się i nad nami przystanął.

Twe ramiona i nogi to wiosła,  
którymi zagarniasz mnie na ostateczne głębie.  
Jużeś, łódka, w żeglarza całkiem wrosła,  
obłoki na nas spadają, jak gołębie,  
sztandar zwycięstwa — rozpostarty żagiel.

Biją fale o burty, a wszystkie nagie,  
są przychylnie, chociaż wichry dzikie,  
coraz gwałtowniej nami kołyszają.

Odwzajemniasz się im radosnym krzykiem,  
by go potem skwitować rzewną ciszą.

1936 - 1977

## O CHLOE I KWIATACH

Mówi piękna Chloe...

„Jestem rzeką na piachu rozgrzanym —  
ujmij mnie w brzegi twych ramion.  
Nie zaznałam dotąd najśłodszej rany,  
moje oczy i usta nie kłamią.

Jestem kwiat i cała żyję w kwiatach,  
kwiaty się proszą spod mych sukien...  
Jeśli potrafisz w wieńce je splatać,  
to mnie zerwij, albo ułóż w piękny bukiet!

Tyś ogrodnik, dlategoś mnie urzekł...  
Oto krew wzbiera w moich płatkach i pędach...  
Tu są lilie, tu nardy, tu róże,  
a odwiedza mnie tylko  
złota pszczoła — przybłąda.

Spalam się w gorącej purpurze,  
więdnę bez ratunku na grzędach.  
Po nocach staję się czarownicą,  
by pozostać nią, zanim w niebie zaświta.  
Wtedy po klombach cwałują centaurów kopyta —  
strzeż się — jeżeli cię pochwyć,  
o żadną litość nie pytaj.

A rankiem, jak słonecznik,  
obracam się ku tobie licem,  
bujnie na twoją cześć zakwitam.

Próżno proszę się o zerwanie z kwietnika,  
czemu na me prośby, okrutny, nie zważasz?  
Objawiasz mi się i zaraz znikasz,  
jedyny,  
o tysiąca mężczyzn twarzach.

Szamocę się, jak pojmane zwierzę w łykach...  
Czemu mnie nie zabierzesz  
do Bogini Cypryjskiej ołtarza?!

Chcę mieć w tobie przyjaciela, nie przeciwnika,  
a ty mnie codziennie znieważasz...

Jeśliś jest uczciwy ogrodnik,  
winienesz  
z moimi kwiatami żyć zgodnie!"

1936 - 1977

### SONET BAROKOWY

Gdybym żył i chciał pisać w wieku XVII-tym,  
jakich bym metafor użył i przerośniętych?  
Im głos bardziej zduszony, tym przemawia głośniejsz,  
szepcąc łacniej, niżli wrzawa, dotrze do niewiasty.

Wiersz bez porównań — to chleb bez omasty,  
na drożdżach tropów ciasto wyżej rośnie.  
Śpiew niech rozwija się jurniej o wiosnie,  
by przed jesienią przedwcześnie nie zastygł.

Wapienną winogrodu krzew rozsadza glebę,  
ciasto rośnie, pożywnym będzie wkrótce chlebem,  
mleko zamieni się w tłustą śmietanę.

Głodu nie będzie. Po wieczery na osłode  
podasz usta, natarte szafranem i miodem,  
i piersi, winem wytrawnym wezbrane.

1941 - 1972

### ROMANS PROZAICZNY

Ojciec od dwóch miesięcy bezrobotny,  
skończył się kredyt w narażonym sklepiku...  
A oczy miała pełne iskierek psotnych,  
a biodra jakby rzeźbiarz natchniony jej wykult.

Zacęło się od spojrzeń przelotnych,  
rozstrzygnęło się w studenckim pokoiku.

Płakała — krople łez mieniły się na rzęsach  
ale usta były posłuszne, ramiona pokorne.  
— Od dawna na obiad nie jedliśmy mięsa,  
trzeci miesiąc zalegamy z komornem...

Odtąd noce do czerwieni rozżarzone —  
on z pomocą zawsze iść był gotów.  
Nie brakowało już na kino drobnych monet,  
ani matce na zakupy szeleszczących banknotów.

Kościół pobliski przyzywał hucznym dzwonem,  
ale dla niej nie było powrotu.

Ku ustom zbrukany miłości słowa...  
Na wycieczce kajakiem w cieniu dębów i cisów,  
kiedy indziej na świętojańskich paprociach...

(Dziejopis beznamiętnie zanotował:  
— To były lata gospodarczego kryzysu  
i powszechnego w Lublinie bezrobocia).

1931 - 1975

## SŁUŻEBNICA DIABŁA

Szła ogrodem — cała w przegięciu bioder,  
już rozkwitła, już nadmiernie urodna...  
Unosiła ku wiatrom piersi młode,  
nieświadoma, a w grzechu pogodna.

Diabeł widział dokładnie jej urodę  
i nie wątpił że będzie zgodna.

Położyła się posłusznie ze złym diabłem  
ani w głowie jej że zejdzie do piekieł...  
Nie broniła brzoskwiń, ani jabłek,  
sądząc że to ze zwykłym człowiekiem.



Bo nie domyślała się że poszła z szatanem...  
Najpierw było szczęście i wesołość —  
dzisiaj jabłuszka wyściskane, biodra sponiewierane.  
ramiona wysmarowane czarną smołą.

Gdy się chyłał ku różanym licom,  
nie od razu odgadła  
że się staje diabelską miłośnicą.

Zatraciła się w grzesznym życiu ze szczętem,  
szepiała:

— Nie chcę dłużej, ale muszę...  
Poleciały z wiatrem płatki pomięte,  
uwiadł misternie spleciony wianuszek.

Teraz już wszystko o straconej wiecie,  
nie dziwcie się że uległa i osłabła...  
To nie jej wina, bo przecież  
nie domyślała się  
że się staje służebnicą diabła.

Gdybyż o nią wcześniej jakiś anioł zadbał!

1934 - 1976

## NARODZINY SYRYNGI

Piękna Syrynga uciekała przed bożkiem Panem,  
była nimfą, wstydliwą i szybką, jak łania,  
ale i tak Pan by ją nad rzeką pochwycił.  
Goniły za nią włosy rozwiane,  
wiatr uciecze tej ostro się wzbraniał,  
już pożądliwe ręce bóstwa były blisko jej kibici...

Jakiś Greczyn tę baśń wymyślił, bo nie ja...  
Ulitowała się nad Syryngą zgrzybiała Gea,  
w trzcinę ją zamieniła...

Pan pociął trzcinę,  
siedmiousta wyrobił z niej fletnię,  
dmucha i opowiada dzieje tysiącletnie —

tak niepokorną unieśmiertelnił dziewczynę.  
Uciekłaś, no, to uciekłaś...!  
Mogłaś ze mną zwiedzić wszystkie raje i piekła,  
jak Eurydyka z Orfeuszem.  
A ja Syryngę ująłem dłońmi i dmucham  
i tak odradza się tamta zawierucha,  
i unieśmiertelniam cię, chociaż nie muszę.

Nawet nie poradzę ci: tej fletni posłuchaj! —  
boś już zapadła w niepamięć  
i głuszę.

(Chyba że kłamię...)

1955 - 1975

### BYŁA ŻYDÓWKĄ

Była Żydówką, ciało miała złoto-śniade,  
powieki pierzchliwe, jak motyle,  
biodra, jak dzban wezbrany miodem.  
Gdy szła, pół miasta biegło za jej śladem,  
by choć przez chwilę  
napatrzeć się na grzeszną jej urodę.

Rzewny śnie, ramieniem mnie przygarnij!  
Niech wspomnienie zaszumi w mej głowie, jak wino!  
Niech przybliży tamtą porę słoneczną!  
Zamykały się pokornie oczy sarnie  
gdyśmy zrastali się w jedyność  
i na własność brała nas wieczność.

Była Żydówką, wstydziła się że z chrześcijaninem,  
bo w nią wmówiono  
że chrześcijanie mają jej rasę w pogardzie,  
Ale ja przecież żywiłem myśli całkiem inne,  
gdy schodziła, wstydliva, ku moim ramionom...

I z dniem każdym ją kochałem coraz bardziej!

1935 - 1975

## EROTYK NIEPRZYTOMNY

Twoje ramiona — ciężkie łańcuchy, ściągnące mnie  
na bezdenne głębie,  
twoje biodra — okręt unoszony Golfstromem;  
twoje piersi — ogniem uskrzydłone gołębie,  
twoje oczy — przepaście... Kroków skały strome.

Niech mnie ściągną łańcuchy — utonę!  
Na bioder okręcie niech na wieki zasną!  
Podpalajcie mnie, gołębie, ogniem uskrzydłone!  
Przyjmijcie moje zwłoki, oczy przepastne!

To na zawsze rozżarzony popiół,  
to burza, której nawet wieczność nie uśmierzy.  
I cóż z tego żem się spalił, czy utopił?  
Kto płomienia i burzy nie zaznał,  
ten nie żył!

A Pani Cypryjska zawsze szaleńcom przyjazna...

1950 - 1975

## W ZEMBORZYCACH

Pani Wenus wszędzie zastawia swe zatrzaski,  
więc to samo dzieć się musiało w Lublinie.  
Podobno młodzi wciąż całują się w Ogrodzie Saskim,  
a Bystrzyca też podobno ciągle płynie.

Spływało się kajakami do Zemborzyc,  
w tamtych lasach było dosyć mchów i czernic.  
Po to właśnie wyrok bóstw nas wszystkich stworzył,  
więc musieliśmy wyrokowi być wierni.

Pieniła się woda przy starym młynie,  
noce i gwiazdy przeglądały się w głębinie,  
bo każda noc była znojna i gwiezdna...  
I co? — Bystrzyca ciągle jeszcze płynie?  
Bez nas?!

## NOTA BIBLIOGRAFICZNA

- Rozmowa z Ojczyzną* — Lublin 1935  
*U przyjaciół* — Lublin 1935  
*Demonom nocy* — Warszawa 1936. Nagroda Młodych Polskiej Akademii  
Literatury  
*Rozmowa z ojczyzną* Drugie wydanie — Warszawa 1936  
*Z dymem pożarów* — Nicea 1941  
*Modlitwa na wojnę* — Londyn 1946  
*Złota hramota* — Paryż 1954  
*Uczta zadżumionych* — Paryż 1954  
*Komysze* — Londyn 1955  
*W stolicy* — Londyn 1958  
*Pieśń o Ukrainie* — Paryż 1959  
*Droga powrotna* — Londyn 1961  
*Kasydy i gazele* — Londyn 1961  
*Czerwona wiosna* — Londyn 1965  
*Terminatorzy rewolucji* — Londyn 1966  
*Nożyce Dalili* — Londyn 1968  
*Jarzmo kaudyńskie* — Londyn 1969  
*Rzeka graniczna* — Londyn 1970  
*W połowie wędrówki* — Londyn 1972

### W JĘZYKU HISZPAŃSKIM

- Por nuestra libertad y vuestra. Polonia sigue luchando* — Madryt 1945  
*Literaturas eslavas* — Madryt 1946

## SPIS TREŚCI

<i>Komentarz od Autora</i> .....	7
----------------------------------	---

### DYTYRAMBY NIEPRZEJEDNANE

#### I

<i>Cmentarz w Lublinie</i> .....	11
<i>List do Kraju</i> .....	12
<i>List do matki</i> .....	15
<i>Elegia</i> .....	17
<i>Nasze granice</i> .....	19

#### II

<i>Dublany</i> .....	22
<i>Noc nad granicą</i> .....	24
<i>Kołysanka żołnierska</i> .....	27
<i>Bój pod Wizną</i> .....	28
<i>Monte Cassino</i> .....	31
<i>Na śmierć generała Andersa</i> .....	34

#### III

<i>Dedykacja</i> .....	36
<i>Sztyletnicy</i> .....	37

<i>Czternaście kul</i> .....	38
<i>W rocznicę rewolucji</i> .....	38
<i>Majakowskiemu</i> .....	39
<i>Noc przerażenia</i> .....	41
<i>Przekleństwo</i> .....	43
<i>Proroctwo</i> .....	44
<i>Intelektualistom zachodnim</i> .....	46
<i>Maksymy nietaktowne</i> .....	47
<i>Zaparcie się Szymona</i> .....	48

#### IV

<i>Kantata na intronizację Jana Pawła II</i> .....	51
<i>Kolęda dla Papieża</i> .....	55
<i>Tryptyk o zamordowanym Kościele</i> .....	56
I. <i>Święty Andrzej u Scytów</i> .....	56
II. <i>Metropolita Szeptycki</i> .....	58
III. <i>Halickiemu władcyce</i> .....	60

### POPOŁUDNIE FAUNA

#### I

<i>Miłość podczas burzy</i> .....	65
<i>Ballada o Godiwie</i> .....	67
<i>Dwie pochwały Heleny Fourment</i> .....	70
<i>Trzy Natalie</i> .....	73
I. <i>Natasza Rostowa</i> .....	73
II. <i>Natalia Gonczarowa</i> .....	75
III. <i>Natalia Gączczyńska</i> .....	76

#### II

<i>Jesienna bajka</i> .....	79
<i>Pejzaż mitologiczny</i> .....	80
<i>Pejzaż starostwianiński</i> .....	81
<i>Jesienny odlot</i> .....	83
<i>Noc świętojańska</i> .....	84

<i>Popołudnie</i> .....	86
<i>Wiersz bukoliczny</i> .....	87
<i>Galickie czarownice</i> .....	88

### III

<i>Wenus przed zwierciadłem</i> .....	90
<i>Mitologia</i> .....	92
<i>Wspomnienie Juraty</i> .....	92
<i>Tytania i osioł</i> .....	94
<i>W poszukiwaniu metafor</i> .....	95
<i>Zielone oczy</i> .....	96
<i>Opowiadam Bokacjusza</i> .....	98
<i>Erotyk żeglarski</i> .....	99
<i>O Chloe i kwiatach</i> .....	100
<i>Sonet barokowy</i> .....	101
<i>Romans prozaiczny</i> .....	101
<i>Służebnica diabła</i> .....	102
<i>Narodziny Syryngi</i> .....	103
<i>Była Żydówką</i> .....	104
<i>Erotyk nieprzytomny</i> .....	105
<i>W Zemborzycach</i> .....	105
<i>Nota bibliograficzna</i> .....	106





**A C H E V E D ' I M P R I M E R  
L E 3 1 D E C E M B R E 1 9 8 4  
S U R L E S P R E S S E S D E  
L ' I M P R I M E R I E R I C H A R D  
2 4 , R U E S T E P H E N S O N ,  
P A R I S ( X V I I I <sup>e</sup> ).**

**Dépôt légal : 4<sup>e</sup> trim. 1984.**

**N° d'imprimeur 6745.**

THE UNIVERSITY OF CHICAGO  
DIVISION OF THE PHYSICAL SCIENCES  
DEPARTMENT OF CHEMISTRY  
5708 SOUTH CAMPUS DRIVE  
CHICAGO, ILLINOIS 60637

1968

1968



